

# nadodrże

ZIELONA GÓRA  
ROK XXXII NR 8 [665]

17 - 30 IV 1988 R.  
CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## JAK ZWIĄZAĆ KONIEC Z KONCEM

SCENY  
*mitosne*

## LUDZIE I LAS

DWA TYGODNIE  
W deszczu

nie ma CZEGO  
HANDZIA?

Przed 45 laty, 19 kwietnia 1943 roku w getcie warszawskim wybuchło powstanie zbrojne, które przeszło do historii jako symbol determinacji ludności żydowskiej i jej wielkiej tragedii. Los narodu żydowskiego, wyjątkowo w III Rzeszy całkowicie spod prawa, zgodnie z hitlerowskimi ustawami rasowymi, zmierzal do całkowitej zagłady tej ludności w Europie, do „Endlösung der Judenfrage”. Rozpętanie antyżydowskiej fali prześladowań Żydów przez hitlerowców nie wynikało tylko z obłądnego fanatyzmu, lecz miało swe głębsze przyczyny polityczne i gospodarcze.

## Holocaust nad Odrą

Przemysław Mnichowski  
Andrzej Toczewski

Już w dwa miesiące po objęciu władzy przez Hitlera 30 stycznia 1933 roku rozpoczęto akcje mające na celu prześladowanie Żydów, które zyskały prawną podstawę w postaci dwóch ustaw uchwalonych 15 września 1935 roku na zjeździe partii narodowo-socjalistycznej „Parteitag der NSDAP” w Norymberdze.

Norymberskie ustawy rasowe stały się podwaliną ustawodawstwa hitlerowskiego. Okazywały się synonimem faszystowskiej pogardy człowieka i podstawą najstraszliwszych w dziejach ludzkości prześladowań, gdzie Słowianie, Cyganie i Żydzi uznani zostali za obcych rasowo podludzi (Untermenschen). Pierwsza ustawa o obywatelstwie Rzeszy (Reichsbürgergesetz) głosiła, że obywateli niemieccy religii żydowskiej albo posiadający dwóch dziadków tej religii zostali uznani za ludzi o ograniczonych prawach. Druga dotyczyła ochrony krwi niemieckiej i honoru niemieckiego (Gesetz zum Schutze des deutschen Blutes und der deutschen Ehre, inaczej Blutschutzgesetz). Określała ona, że Żydem jest ten, kto pochodzi od trzech dziadków należącego do religii żydowskiej, określała też pojęcie „pożydka”. Wszystko to miało służyć precyzyjnie zaplanowanej akcji prześladowań a następnie eksterminacji narodu żydowskiego.

Na ziemiach polskich, na których od początku okupacji wprowadzono dyskrimnacyjne zarządzenia wobec Polaków i Żydów, gromadzono ludność żydowską w wydzielonych, bardzo ograniczonych pod względem przestrzennym dzielnicach miast, tzw. gettach, które hitlerowcy nazywali również „Judenbezirk”. Stały się one miejscem tragedii, bowiem głód oraz epidemie powodowały ogromną śmiertelność, co było oczywiście jednym z celów istnienia gett.

Głównie jednak chodziło o to, aby skupioną na ograniczonej przestrzeni i bezwolną ludność żydowską móc łatwiej przetransportować do obozów zagłady, jak Bełżec, Chełmno, Majdanek, Oświęcim, Sobibór, Treblinka, w celu ostatecznego unicestwienia, najczęściej gazem „Cyklon B” i spalania w krematoriach. Również tereny Środkowego Nadodrza, wchodzące do 1945 roku w skład III Rzeszy były miejscem prześladowań Żydów i antyżydowskich wystąpień hitlerowskich bojówek. W okresie od 1933 do 1938 roku przeprowadzono w Niemczech sukcesywną eliminację ludności żydowskiej z poszczególnych dziedzin życia. Akcja ta została zapoczątkowana bojkotowaniem sklepów żydowskich i napadami na nie grup SA-manów. Apogeum prześladowań Żydów nastąpiło podczas „nocy kryształowej” z 9 na 10 listopada 1938 roku. W następstwie pogromu, jaki wówczas miał miejsce, doszło do zniszczenia i podpalenia wielu synagog, zbezczeszczenia kirkutów, w tym słubickiego, który był jednym z najstarszych cmentarzy żydowskich w Europie. Zgromadzone przez gminy żydowskie akta zostały przejęte przez placówki gestapo, co miało również miejsce w Zielonej Górze. W tym okresie Żydzi zostali zmuszeni do wyzybywania się swoich posiadłości. Z końcem 1938 roku władze policyjne lubuskich miast zostały powiadomione o poufnych telegramie ministra gospodarki Rzeszy nakazującym przymusowe zamykanie sklepów i warsztatów rzemieślniczych prowadzonych przez Żydów, co miało odbywać się zgodnie z wydanym rozporządzeniem o wyłączeniu Żydów z niemieckiego życia gospodarczego.

Kolejnym etapem polityki wobec ludności żydowskiej w III Rzeszy przed wybuchem II wojny światowej była

grabież mienia żydowskiego i zmuszanie ich do opuszczenia terytorium hitlerowskich Niemiec. W wyniku przymusowej emigracji wiele żydowskich rodzin wyjechało w tym okresie z Zagania, Sulechowa, Krosna, Gorzowa, Świebodzina, Zielonej Góry, Barlinka i innych miejscowości obecnych województw gorzowskiego i zielonogórskiego.

Na uwagę zasługuje fakt, iż w końcu października 1938 roku ofiarą represji władz nazistowskich padli Żydzi pochodzący z terytorium Polski, ściśle obywateli państwa polskiego. Akcje aresztowań i wysiedleń około 17 tys. Żydów — obywateli polskich z terytorium Rzeszy przeprowadzono w nocy z 27 na 28 października 1938 roku, zarządził Reinhard Heydrich w imieniu Reichsführera SS i szefa niemieckiej policji bez poinformowania polskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Nagle policja niemiecka cofnęła zgodę na pobyt w Niemczech i przetransportowała nad granicę niemiecko-polską kilkanaście tysięcy Żydów, a wśród nich osoby, które emigrowały na terytorium cesarstwa niemieckiego o jeszcze przed II wojną światową. Ponieważ władze polskie odmówiły przyjęcia transportów, nastąpiło przedsięwzięcie przez Niemców tysięcy przetransportowanych Żydów m.in. ze Zbąszynka do Zbąszynia na terytorium Polski.

W okresie II wojny światowej na terenach Środkowego Nadodrza Niemcy rozbudowali system obozów różnego typu, w tym przeznaczonych specjalnie dla Żydów. Genetza żydowskich obozów pracy przymusowej, organizowanych w latach 1940-1941 na Środkowym Nadodrzu, związana była z podjętą przez Niemców budową autostrady prowadzącej z Berlina przez Frankfurt nad Odrą w kierunku Poznania. Autostradę budowało kilka prywatnych firm niemieckich, nad którymi ogólny nadzór sprawowała Naczelna Dyrekcja Budowy Autostrad w Berlinie (Obersten Bauleitung Reichsautobahn, w skrócie RAB).

Pierwsze transporty Żydów polskich kierowanych do dyspozycji RAB zaczęły nadchodzić z końcem 1940 roku z getta łódzkiego. Łącznie od grudnia 1940 do połowy 1942 roku, wywieziono do obozów RAB około 7400 Żydów łódzkich. Pewna liczba robotników żydowskich przybyła na ten teren spoza getta łódzkiego. Na podstawie ustaleń Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze przyjmuje się, iż w obozach związanych z budową autostrady na terenie Środkowego Nadodrza, w końcu 1942 roku znalazło się

ciąg dalszy na str. 6

## Słup na boisku

Alfred Siatecki

We Wroniawach, gmina Wolsztyn, było boisko, zwyczajne, do gry w piłkę nożną, jakie niewykwalifikowana młodzież potrafi zbudować. Na tym boisku od jesieni zeszłego roku stoi słup, też zwyczajny, jaki energetycy potrafią postawić, by podtrzymywał przewody elektryczne. Dlaczego energetycy wkopali słup na boisku, a nie za linią autobusową, pozostaje ich i gminnej władzy tajemnicą.

We wsi Grabik, gmina Zary, istnieje bodaj najprężniejszy w województwie zielonogórskim ludowy klub sportowy, posiadający nawet autokar marki „Autosan”. Przed laty członkowie LZS „Sparta”, bez większej pomocy władz, zbudowali wielofunkcyjny obiekt sportowy, czyli nie to stadion, nie zespół boisk. Był im potrzebny, więc zbudowali. Ow wielofunkcyjny obiekt sportowy został ogrodzony, zarejestrowany, budowniczości dostali nagrodę centralną. Zapewne dostaną jeszcze wiele nagród, bowiem plany mają bogate, a to: budowa trybuny dla publiczności, usypianie górki saneczkowej, położenie lodowiska, postawienie kas. Chcą również mieć halę sportowo-widowiskową, taki grabikowski „spodek”, w którym odbywałyby się do południa lekcje wychowania fizycznego, po południu treningi zawodników „Sparty” wieczorem dyskoteki, koncerty filharmoników zielonogórskich, a nawet przedstawienia teatralne, lub wesela i chrzciny. Odpowiednio umotywowany wniosek złożyli w zaryskim Urzędzie Gminy i czekali na odpowiedź. Pół roku potrzebował naczelnik na zastanowienie się, gdzie w Grabiku wyznaczyć miejsce pod halę.

W Łeknicy budowa niży-stadionu trwała tylko 6 tygodni. Dyplomowani specjaliści obliczyli, że taki niży-stadion powinien kosztować co najmniej 1,5 miliona złotych, a w rzeczywistości z kasy urzędowej wydano 30 tysięcy złotych. W Łeknicy wszelkie prace ziemne, większe roboty budowlanych, transportowych, przeładunkowych wykonał sportowcy i działacze LZS.

W Chorzeminie, niedaleko Wolsztyna, powstaje wiejski dom kultury, w którym będą pomieszczenia dla sportowców LZS „Orkan”. W Człiradzu koło Kożuchowa, wsi pegeerowskiej, nie było niczego, a dziś jest boisko, strzelnica i urządzenia lekkoatletyczne wartości 2,5 miliona złotych.

Na wsi prawie wszystko powstaje z niczego, to znaczy z pracy rąk. Tam w czynnie społecznym buduje się drogi,

wodociągi, sklepy, przystanki autobusowe, szkoły, przedszkola, świetlice, boiska. W ostatnich latach sportowcy wiejscy wzniesli 19 szatni, 2 korty tenisowe, 25 boisk do piłki nożnej, często postępując wbrew przepisom. Gdyby działacze wiejscy, ci od kultury fizycznej i duchowej, przestrzegali przepisów, to znaczy nie narażali się nikomu, nie byłoby ani sportu wiejskiego, ani kultury ludowej, która rozświeca nasz region.

Nikogo nie trzeba przekonywać, że są pewne dyscypliny sportu rozwijające się prężnie wśród młodzieży wiejskiej niż na to miejsce w miastach. Do nich należą: podnoszenie ciężarów, zapasy, kolarstwo, łucznictwo, a więc te dyscypliny, które wymagają od zawodnika siły, wytrzymałości. Czy pływani wyczynowe na wsi, nieznane, między innymi ze względu na brak krytych basenów, gdyby zostało oparte na zawodnikach LZS nie dostarczyłoby Polakom powodów do radości?

Wróćmy na podwórkę lubuskie. W Bieganowie koło Cybinki istnieje LZS „Bizon”, a w nim sekcja kolarska z zawodnikami reprezentującymi Polskę na trasach przejazdowych Europy. Zapaśnicy LZS „Tur” z Siedliska wygrali zeszłoroczną Zielonogórską Spartakiadę Młodzieży w stylu wolnym. W gdańskim turnieju nadziei olimpijskich juniorzy „Agrosu” Zary zajęli II-III miejsce, wyprzedzając 36 renomowanych klubów z całego kraju. Marek Cieślak, twórca sukcesów zaryskiej młodzieży wiejskiej, jest już trenerem kadry narodowej najmłodszych zapaśników, a wielu jego wychowanków uzyskało najwyższą klasę sportową. Jeszcze kilka lat temu siatkarzy sulechowskiego LZS „Zawisza” reprezentowały region lubuski w I lidze. Spadły z ekstraklasy między innymi dlatego, że klubu nie było stać na pokrywanie kosztów wyjazdów na mecze. Z podobnych względów nie rozwija się łucznictwo, zlokalizowane w Nowym Miasteczku. W ciągu trzech ostatnich lat lekkoatletów LZS zdobyli 205 medali podczas zielonogórskich spartakiad młodzieży. Sport wyczynowy wymaga, z jednej strony — wysiłku od zawodnika, z drugiej — pieniędzy, a tych LZS nigdy nie miały nawet na pokrycie wydatków

ciąg dalszy na str. 4



# Opinie i refleksje

## Europa-sprawą

### dla nas najważniejszą

Podstawowym warunkiem trwałego pokoju i bezpieczeństwa na naszym kontynencie jest nienaruszalność powojennych granic, uznanie istniejących realiów terytorialno politycznych, poszanowanie suwerenności i integralności terytorialnej wszystkich państw, ściśle przestrzeganie powszechnie uznanych zasad i norm prawa międzynarodowego.

Od tego, jak dane państwo ustosunkowuje się do tych pryncypiów, zależy nasza ocena jego postępowania. Dla tego z zadowoleniem-witalismy wiele krotne oświadczenia ministra Genscher'a podczas jego pobytu w Polsce, że RFN w pełni respektuje i respektować będzie w przyszłości powojenne realia w Europie.

Teraz chodzi o to, aby umocnić pokojowy ład na naszym kontynencie, który byłby gwarantem bezpiecznego rozwoju Europy. Służby temu może jedynie zaakceptowanie wszystkich propozycji zmierzających do tego celu. Jeśli chodzi o inicjatywy krajów socjalistycznych, wymienić by należało następujące: polski plan w sprawie zmniejszenia zbrojeń i zwiększenia zaufania w Europie Środkowej (zwany popularnie planem Jaruzelskiego) co miałoby niebagatelne znaczenie dla zmniejszenia groźby napadów i rozwoju procesu rozbrojenia; nową kompleksową inicjatywę CSRS w sprawie utworzenia wzdłuż linii styku dwóch sojuszy strefy zaufania, współpracy i stosunków dobruśsiedziwych; propozycję NRD i CSRS w sprawie utworzenia korytarza bezatomowego i strefy wolnej od broni chemicznej w Europie Środkowej; wspólną inicjatywę węgierską i Rumunijską w sprawie kształcenia Balkanów w strefie wolnej od broni nuklearnej i chemicznej.

Z zadowoleniem należy podkreślić aktywizację pokojowych inicjatyw również ze strony niektórych państw zachodnich. Chodzi tu m.in. o pełne poparcie przez Grecję wymienionej inicjatywy bałkańskiej, wysunięcie przez Finlandię i Włochy propozycji zmierzających do zwiększenia aktywności państw nie posiadających broni nuklearnej, w kierunku redukcji zbrojeń konwencjonalnych. Korresponduje to w pełni z ostatnim apelem Układu Warszawskiego o rozpoczęcie jeszcze w tym roku konkretnych rokowań w sprawie redukcji zbrojeń konwencjonalnych na naszym kontynencie.

Po szczyście waszyngtońskim, który wyprzedził z Europy rakiety średniego zasięgu i nadechodzącym szczytem moskiewskim, który dotyczył będzie zbrojeń strategicznych, chodzi o to, aby przystąpić do ostatniej redukcji konwencjonalnych sił zbrojnych. Powinna ona objąć obszar całej Europy co wg. klasycznego określenia gen. de Gaulle'a oznacza terytorium rozciągające się od Atlantyku po Ural.

Wydaje mi się na sprawę o kapitalnym wreszcie znaczeniu. Obecne bronie konwencjonalne stanowią potężną siłę rażenia. Eliminacja broni nuklearnej (do czego zresztą w pełnym zakresie jeszcze bardzo daleko) i zastępowanie jej rozbudowanymi broniąmi konwencjonalnymi jest drogą niebezpieczną. Trzeba zresztą pamiętać o tym, że w Europie rozlokowany jest również potężny arsenał taktycznych broni atomowych. Dlatego też w celu zmniejszenia groźby nagłej napadzie (czemu właśnie poświęcony jest nasz polski plan) szczególnie uwagi wymagają te rodzaje zbrojeń, które stanowią podstawę ofensywnego potencjału sił zbrojnych.

Ukształtowane historycznie asymetrie i dysproporcje w dziedzinie broni konwencjonalnej w Europie powinny być usuwane na zasadzie wzajemności i pod ścisłą kontrolą. Takie jest nasze stanowisko; przyszedł czas na rzetelną redukcję sił konwencjonalnych.

Tymczasem sekretarz generalny NATO lord Carrington lansuje tezę, iż podpisane niedawno amerykańsko-radzieckie porozumienie jeszcze wyraźniej uwypukla potrzebę wzmocnienia sił konwencjonalnych Zachodu. Dodać, iż NATO nie powinno zostać usłone falfszywym poczuciem bezpieczeństwa.

Absolutnie odeszliśmy już od dłuższego czasu od dawnej retoryki ciągłego obarczania wszystkimi winami Zachodu. Chodzi jednak o to, aby i tam uwierzyć w pełną szczerść naszych intencji.

MICHAŁ HOROWICZ

## Z prasy radzieckiej

# Siedzieli na workach złota...

Aktualnie w Moskwie toczy się śledztwo w sprawie poważnego naruszenia zasad wydawania ze Skarbnicy Państwowej drogocennych depozytów. Jest ono okryte tajemnicą. W aferę przywiązania sobie mienia państwowego zamieszanych jest wiele znanych osobistości. Radziecki dziennik SOCYALISTYCZESKAJA INDUSTRIJA pisał już kilkakrotnie o tej sprawie.

W kolejnym artykule tego dziennika zatytułowanym „Siedzieli na workach złota” jego autor próbuje naświetlić to tej zawiłanej sprawy, a zwłaszcza problem ewidencji i kontroli depozytów zgromadzonych w Skarbnicy Państwowej, skąd zniknęły one bez śladu.

Z rozmowy przeprowadzonej z naczelnikiem Skarbnicy Państwowej Jęgieniem Byszczkowem wynika, że drogocenne depozyty odprowadzane są do muzeów „na wagę”. Atestację i wycenę otrzymanych przedmiotów przeprowadza już muzeum we własnym zakresie. Rozmowa z naczelnikiem Byszczkowem na temat służności wprowadzenia dokumentacji w oparciu o wagę dzieł sztuki, uwarła się gwałtownie po pytaniu o wyniki działania komisji prowadzącej śledztwo w związku z naruszeniem zasad wydawania depozytów ze skarbcia.

Z informacji uzyskanych z innych źródeł wynika, że w przeszłości ewidencję i kontrolę rozchodów drogocennych depozytów prowadził departament metali szlachetnych przy Ministerstwie Finansów ZSRR. Przy tym departament był też wydzielony ds. kamieni półszlachetnych. Podczas redukcji administracji państwowej departament i wydzielone zostały zlikwidowane, a pracownicy administracji i specjaliści znaleźli zatrudnienie w Skarbnicy Państwowej, gdzie nie prowadzi się już żadnej ewidencji i kontroli obrotu depozytami. Od 30 lat nie przeprowadzono inwentaryzacji znajdujących się tam skarbow.

W związku z tym nasuwa się pytanie, dlaczego do chwili obecnej nikt nie wie, co konkretnie mieści się w workach z drogocenną zawartością, dostarczanych do skarbcia. Nie jest znana też wartość zgromadzonych tam dóbr. Wiać domo natomiast nie to wszystko waży — w kilogramach i tonach. Nie wiadomo zaś jaka jest wartość tych przedmiotów — w karatach, rublach czy też muzealności.

Ogromne zdziwienie budzi na przykład fakt zatrzymania przez milicję na bazarze handlarza, u którego znaleziono drogocenne towary odcinane przez inspekcję ds. prób ze Skarbnicy Państwowej. Natomiast w domu podejrzanego znaleziono aż cały worek takich precjozów. Po dalszych ustaleniach okazało się, że żona owego handlarza jest pracownicą Skarbnicy i sama odcinuje towary tam, gdzie nie ma odcinanych. W celu późniejszego zewidencjonowania ich. Jednocześnie w skarbcu nie wykryto żadnych ubytków. Tak więc „złoty woreczek” niezależnie od tego, że ma cechy państwowe, nie jest niczym innym jak „złoty woreczek”. Jeden ze śledczych określił to, jako wielką „krzyżówkę”, „rebus”.

Wobec całej masy skarbow, które przechodzą Skarbnicy Państwowej „koło nosa”, jeden woreczek jest tylko „złotym pyłkiem”. Cała historia zaczyna się już w kopalniach, gdzie znajdują się np. kamienie półszlachetne. Robotnicy przywiązują je sobie, wzbogacając prywatną kolekcję. Nie jest to tajemnica, że prawie każdy pracownik kopalni ma prywatną wspaniałą kolekcję drogocennych kamieni półszlachetnych. Podobne zbiory mają też okoliczni mieszkańcy, nie mówiąc już o wpływowym osobowościach. Ludzie na stanowiskach są już specjalistami w tej dziedzinie. Zgodnie zaś z przepisami każde cenne znalezisko powinno trafić do Skarbnicy Państwowej.

Dech zapiera wspomnienie o osobistych prezentach dla członków wysokiego kierownictwa. Na przykład na polecenie Ministerstwa Geologii, w ramach premiowania przodowników pracy, dla Breżniewa wykonano kunsztowną kamień z jego podobizną, z okazji jego urodzin. Zaś pracownik MSW Szczalikow otrzymał w prezencie wspaniały miecz. Skarby państwowe przechodziły w ręce prywatne.

Sytuacja taka ułatwiała między innymi system ewidencjonowania przychodów i rozchodów depozytów, na podstawie ich wagi. Różnego rodzaju drogocenne depozyty trafiały na przykład na wadze z powodu ich „wysychania”. W przypadku wyrobów zawierających elementy wykonane z kości było to jeszcze do przyjęcia, chociaż w zasadzie nie zmieniała się ich wartość historyczna, artystyczna. Z takimi „ubytkami” przedmioty te, dzieła sztuki, zabytki sztuki jubilerskiej, bez wyceny specjalistów były kierowane do państwowych zakładów jubilerskich, ale nie do konserwacji. Oczywiście nie wracali już do skarbcia. W ciągu pięciu lat zastój ze skarbcia „uolnili” się ogółem 1.328.325,75 gramów wyrobów jubilerskich z drogocennych metali i kamieni. Przekazywano je rzekomo do konserwacji.

Dostarczone w ten sposób do składnicy metali i kamieni szlachetnych dzieła sztuki zamieniały się, decyzją urzędników, w „ziom”, jaki skupuje się zwykłe do ludności. Następnie przekazywano je do pracowników jubilerskich, gdzie po wykonaniu bardzo drobnych czynności „przywracano im świetność”. Istniało na nich już inną cechę. Zaopatrzone w cechę i próbę państwowego zakładu jubilerskiego wyroby wędrowały do specjalnych sklepów z wyrobami jubilerskimi. Tam nabywali je oczywiście „specjalni” klienci, po cenach nie wiadomo przez kogo ustalonych. Wśród takich specjalnych klientów, jak wykazało śledztwo, był dyrektor jednego z owych sklepów.

W ten sposób w klejnoty „zaopatrywali” się między innymi byli pracownicy MSW ZSRR: Kalinin, Czurbanow, Szczalikow, którzy nabyli m.in. kilka antykwarycznych zegarów firmy „Pawel Bure”. Zaradką pozostanie los zegarków skonfiskowanych przez celników podczas próby przemytu ich przez granicę. Wiele do myślenia daje na ten temat jeden z dokumentów Skarbnicy Państwowej, w którym stwierdza się, że „wydano 4022 zegarki, o łącznej wadze 41.809,4 grama, wartości 281 rubli i 54 kopiejek”. Zestawienie tych danych mówi samo za siebie. W dokumentacji tej brakuje też decyzji Ministerstwa Finansów o takim zadysponowaniu skonfiskowanych mieniem przemysłowym.

Po aresztowaniu Kalinina, na polecenie Prokuratury ZSRR powołano komisję specjalistów z Ministerstwa Finansów, której zadaniem było przeprowadzenie rewizji i kontroli w całej tej sprawie. Zakreślone śledztwo ujawniło całą sieć powiązań między muzeami i antykwariami.

W rezultacie tej akcji wprowadzono zaostrezone przepisy ewidencjonowania muzealnych przychodów i rozchodów majątku narodowego. W pomieszczeniach zainstalowano najnowszy sprzęt elektroniczny, chroniący przed włamaniem. Na korytarzach rozmawiano żołnierzy z pistoletami. Przestąpił przychodzie do Skarbnicy cienie i wulkany. Wszędzie inne pozostało jednak po starciu. Nie ma gwarancji „nieodpuszczenia do ponownego powstania ujawnionych w przeszłości zaniedbań”. Nikt przecież nie może dać takich gwarancji. Również w chwili obecnej.

Niektóre potoczyły się losy niektórych pracowników skarbcia. Na przykład W. Smirnow, ten, który robił „zapisy” i „odpisy” w rejestrach depozytów, jest już na zasłużonym odpoczynku. Latem ubiegłego roku, kiedy przebrzmiała już cała burza wokół wyników pracy komisji Ministerstwa Finansów, pułkownik służby wewnętrznej Smirnow został skierowany na „generalską” emeryturę. „W uznaniu za długoletnią i nienaganą służbę”.

Inną ciekawą postacią jest pułkownik służby wewnętrznej A. Androsow, który przez długie lata stał u steru Skarbnicy Państwowej. W sierpniu 1985 roku, w związku z wykryciem wielkich nadużyć w Skarbnicy, Komisja Kontroli Partijnej przy KC KPZR udzieliła mu nagany z wpisaniem do akt, a kolegium ministerstwa odwołało go ze stanowiska naczelnika. Burza przeszła i Androsow pracuje jak dawniej, z tym, że obecnie na etacie podporucznika z wynagrodzeniem przysługującym pułkownikowi. (Na marginesie, kieruje tym samym odcinkiem, na którym w przeszłości ujawniono „znaczące zaniedbania”).

Nadal trwa śledztwo przeciwko osobom, które przywiązali sobie drogocenne muzealne i antykwaryczne dzieła sztuki. Należy oczekiwać — że uzyskane w wyniku śledztwa dane rozświetlą labirynty i zakamarki machinacji finansowych w minionych latach, rzucą światło na korupcję, do której byli wiązani ludzie pełniący ważne funkcje we władzach państwowych. Wśród nich są także ci, którzy dzisiaj

— w gabinetach służbowych rozprawiają o przebudowie, a w zaciszu domowym cieszą się wiodkiem drogocennych przedmiotów podarowanych im w imieniu narodu.

Nie ma wątpliwości, że niski poziom moralny okresu zastój odbił się negatywnie na poziomie radzieckiej sztuki jubilerskiej na rynku międzynarodowym. Zamiast sprzedawać cenne wyroby artystyczne, eksportowano tandetę. Trzeba sobie też uświadomić, że za każdą taką decyzję stali konkretni ludzie, i że ich nazwiska są znane. Chronią ich jednak odpowiednie przepisy, a do ich akit może zajrzeć jedynie kompetentny oficer śledczy.

Znane są nazwiska osób, które nadużywając stanowisk sięgali do kieszy państwowej, świadomi swej bezkarności. Nazwiska tych osób znajdują się w dokumentach sporządzonych przez komisję rewizyjną — kontrolną Ministerstwa Finansów. Nazwiska tych ludzi znajdują się także w dokumentach Ministerstwa Geologii, które przeprowadziło kontrolę wewnętrzną.

W tym kontekście powstaje pytanie, dlaczego komitety partyjne wielu instytucji centralnych nie miałyby zajrzeć do tych dokumentów i zapoznać się z nazwiskami swoich pracowników, którzy ze Skarbnicy Państwowej wykradali dobra narodowe? Do całej tej sprawy trzeba podejść chłodno, bez emocji. Zgodnie z pryncypialnością partyjną należałoby ich zapytać, czy w ogóle nie są się z zamiarem zwrotu tych dóbr do Skarbnicy, a jeśli tak, to kiedy?

Już od dwóch lat w Skarbnicy mówi się o przebudowie, przyspieszeniu, demokracji i jawności. Jednocześnie wszystko robi się po staremu. Ludzi, którzy próbują przeszkadzać, po prostu wykańcza się. Jednym z nich jest profesor, były główny inżynier przagnący wprowadzić ścisłą kontrolę efektywności wykorzystania cennych surowców naturalnych na skalę ogólnozakładową. Drażono pod nim skutecznie i głęboko, wykrywając przy okazji wiele cudzych grzechów. Efekt był jednak taki, że niewygodny profesor zwolnił się na własne żądanie. Podobnie było z wieloma innymi zapalciecami, którzy próbali wprowadzić rozwiązania organizacyjne i techniczne zmierzające do niedopuszczenia do dalszego rozgarniania mienia narodowego. Ludzie odešli. Zostały po nich przygotowane już do wdrożenia rozwiązania, kosztowna aparatura lasrowa z importu do niewidocznego dla oka cechowania precyzów. Próbowano nawet zastosować ter

miczne urządzenie do badania struktury kryształów, by dostarczać przemysłowi tylko te egzemplarze, które nie mają żadnych skaz. Efekt tego jest taki, że specjalista odszedł, a do przemysłu kieruje się całe worki kryształów, z których tylko garść nadaje się do wykorzystania przemysłowego. Co dzieje się z resztą surowca? Nie mówię już o masach złota kierowanych na złomowiska.

Powstaje więc kolejne pytanie: kto ma zadbać o to, by przemysł zwracał niewykorzystane cenne surowce do Skarbnicy Państwowej? Kto ma wprowadzić w tym wszystkim porządek? Czy Ministerstwo ds. Kamieni Półszlachetnych? Czy też Ministerstwo Wyrobu Sprzętu Precyzyjnego? W Skarbnicy Państwowej nie słychać wybuchów w kopalniach kamieni półszlachetnych, nie słychać pilnych nęczy duże okazy na drobniak. Kto może powstrzymać na barbarzyńskie dzieło? Niestety, czysty srobnizm spowodował chyba to, że zwraca się uwagę jedynie na diamenty, rubiny, wale.

Ciekawe, czy jest dzisiaj ktoś, kto spojrzy na to wszystko z punktu widzenia interesu państwa? Niestety, nie ma takiej osoby. Każdy pragnie odnieść sukces na własnym odcinku działania. Jedni gonią za surowcem, inni biorą na potrzeby służbowe wszystko to, co leży w zasięgu ręki. Jeszcze inni cieszą się z tego, że sprzedają kapitalistom za bezcen to, z czego byłby duży zysk. Są też tacy, którzy otrzymując na wagę drogocenne metale i kamienie na potrzeby muzealne, samodzielnie decydują co z nimi począć. Tak wygląda sytuacja. Każdy siedzi na złotym worku i sam nim rządzi, jak mu się podoba.

Co robią ludzie ze Skarbnicy Państwowej? Można przypuszczać, że zastanawiają się, ktdo to mógł podzielić się z autorem artykułu uwagami na temat bolączek instytucji. Kombinują jak za elektronicznym zabezpieczeniem pomieszczeń, za uzbrojonymi strażnikami ukryci „ubytki”. Nie pofatygują się do innych instytucji, by się zorientować jak uporać się z istniejącymi problemami. Samo życie podpowiada, że zapłatanych węzłów nie ma sensu rozpuszczać dziesiątki lat, lecz należy je przecinać. Istnieje wyraźna potrzeba reorganizacji Skarbnicy Państwowej. Tylko w ten sposób z drżającego strażnika skarbcia instytucja ta może przekształcić się w centralny ośrodek sterowania efektywnym wykorzystaniem skarbow narodowych.

## Wojna i pokój Lwa Termena

Inżynier, muzyk, przede wszystkim zaś wynalazca. Otrzymał od Stalina w roku 1927 za pierwszą udaną transmisję telewizyjną kablówką talon na paczkę żywnościową w sklepie za złotymi firankami, w roku 1947 za urządzenie podsluchowe „Buran” — wolność. MOSKOWSKIE NOWOSTI zamieszczają wywiad z 93-letnim Lwem Termenem, który w roku 1922 prezentował na Kremlu w obecności Lenina swoje wynalazki z dziedziny muzyki elektronicznej, m.in. „termenovox” — pierwszy na świecie muzyczny instrument elektroniczny. Poblukujemy omówienie wywiadu z Lwem Termenem.

Tygodnik MN przypomina o sukcesach odniesionych przez Termena w roku 1927 w najlepszych salach koncertowych Niemiec i innych państw, o jego dziewięcioletnim pobycie w USA, gdzie jako wynalazca przewodniczył radziecko-amerykańskiej kompanii produkującej elektroniczne instrumenty muzyczne. Termen wędził całą Amerykę, poznał Du Ponta, Forda, Rockefellera. Blika znajomości łączyła go z Albertem Einsteinem, który... kochał muzykę, a dźwięki „termenovoxu” nazywał kosmicznymi — wspomina Termen. — Pewnego razu improwizowaliśmy na temat jazzowego utworu Gershwna. Maestro fizyki grał na skrzypcach, a ja akompaniowałem na swoim „woltomierzu”, jak żartobliwie uczeni nazywali mój instrument...

Lew Termen opowiada o swych rozmowach z ludźmi z amerykańskiego biznesu wojskowego i z wojskowymi. Był, jak twierdzi, nieźle zorientowany o planach politycznego Olimpu USA i zrozumiał wówczas, że to nie Stany Zjednoczone, lecz państwa Osi będą wojennym przeciwnikiem ZSRR.

Termeną wzwano do Moskwy na wiosnę roku 1938. W kilka dni po powrocie został uwięziony. Jak sądzi, jedną z przyczyn tego był brak akceptacji przez niego dla przedstawianej przez Woroszyłowa koncepcji wojny, w której decydującą formacją miała być kawaleria. Zdolności wynalazcze Termena okazały się bardzo przydatne w obozie pod Magadanem, gdzie wymyślił specjalne płozy do tacek, którymi więźniowie przewozili kamienie na budowę kolejki.

W Moskwie przypomina sobie o Termenie jesienią 1939. Trwała już druga wojna światowa. Stalin postanowił wykorzystać zdolności represjonowanych uczonych dla wzmocnienia zdolności obronnych kraju. Termen pracował z Tupolewem i Korolowem. Zajmował się wyposażeniem radiowym samolotów. W Moskwie na Łubiance konstruował urządzenie, którego sygnały pozwały odnaleźć zaginiony samolot czy łódź podwodną. Również na Łubiance Termen zbudował podsłuchowe urządzenie „Buran”, które jak płoza słuch, wykorzystywał Beria do śledzenia swych rywali w otoczeniu Stalina.





# Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie

## I. SPIEWAJ!

"Spiewaj! I harfę chwyci w dlonie, lekką, z pustego drzewa,  
Ciezarę palców wydobądź ze strun jej tony wysokie.  
Tak jakby to serca czyniły zwołane, ostatnią pieśń spiewaj,  
Zaspiewaj dziś o ginących ostatnich Żydach w Europie." (...) (3-5 X 1943)

## XV. PO WSZYSTKIM

Dlaczego? Nikt nie zapytał na całej ziemi, a wszystko  
Pyta i pyta — dlaczego? Posłuchaj tych pytań, posłuchaj!  
Każde wymiarie domostwo, legie w ruinach i gruzach.  
W tysiącu miast i miasteczek, wszędzie, gdzie cisza jest  
głucha.

Odpow. Słuchaj! Posłuchaj! — Bo w pustych domach  
niedługo

Pustka się gnieździ, bezludzie też się zaludnia na nowo —  
Inni zagrzeją te miejsca, dni inne i inne noce  
Nastaną i inni ludzie nadejdą tam z inną mową.

Słońce wschodzące co dzień nad każdym małym miasteczkiem  
Już nigdzie nie spotka Żyda, — czy w Polsce, czy gdzieś na  
Litwie,

Jasnego starca, co w oknie psalmy odmawiał, czy tego,  
co do bóżnicy podążał, by się pograć w modlitwie.

Chłopi na wiejskich furmankach pojadą wszystkimi drogami,  
Wyruszą słońcu naprzeciw, pośpieszą na jarmark w mieście.  
Ileż tam zjedzie się ludu! Ach, więcej chyba niż przedtem!  
A rynek — jakże pełen! Jak pusty jest jednocześnie!

Już nie ubarwią jarmarków Żydzi, już nie tchną w nie ducha,  
Już nie dodadzą im życia blasku zwyczajów naszych.  
A wiatr nie będzie już więcej rozwiewał żydowskiej kapoty  
Nad jarmarkami pełnymi kartofli, maki i kaszy.

Już nie uniesie się ręka Żyda, by ciębie pogłaskać  
I lekko namacać kurem... Płany chłop białym zębem  
Swego konika zgniewany, by taszczyć pełną furmankę  
Z powrotem na wieś... Już nie ma Żydów, zginęli ostatni.

A dzieci nasze już ze snu nie zerwają się, tak jak dawniej,  
Nie będą budzić się rankiem ze snów spokojnych i miłych.  
Nie pójda już do chederu, nigdy nie przyjrzą się ptakom  
I nie pobawią się w piasku, tak jak się kiedyś bawili.

O, chłopcy żydowscy! Chłopaki o najpiękniejszych oczach!  
Słyszności moje, powiedzcie, skądżście! I stąd — i nie stąd!  
O, wy dziewczęta — ślicznotki! Takie cudowne i czyste,  
Choć z buzią umorusaną, z czuprynką spletaną i gęstą! (...)

Słów Tory już nie usłyszysz, umilkł jej głos w jeszybotach,  
Z żadnego Bet-hamidrasu nie zabrzmia słowa niczyje  
Zamilkli chłopcy wybladli ślęczący tam nad Gemarą  
Pośród rozmyślań... Wybladli? Nie, to blask taki z nich bije!

Już zgast... Rabin! dostojni i jeszybotów zwierzchnicy,  
Mędrcy wychudli i słabi, i myśliciele zgarbieni,  
Ci kwękający, a pełni wiedzy z komentarzami.

Mali o wielkich głowach — na zawsze znikli z tej ziemi. (...) (15-18 i 1944)

(Fragmenty cytujemy za wydaniem książkowym "Pieśni...",  
"Czytelnik" 1982 r. Całość przełożył Jerzy Ficowski).



Repr. CZESŁAW LUNIEWICZ

Pięć jajek po 32 zł za sztukę, dwukulowa siatka ziemniaków 95 zł,  
jeden ogórek 190 zł, szczypiorek 40 zł. Sześć serdelków 680 zł, pół kury  
320 zł. Pół chleba, dwie bułki, mleko, śmietana, kawałek sera. Paczka  
herbatników, dżem, mały majonez.

— Z dwóch tysięcy zostały mi grosze — mówi Ewa Ch., przkładając  
zakupy z wózka do torby.

Jest samotną matką wychowującą  
nieuleczalnie chore dziecko. Dopóki  
było małe, także kłopot był mniejszy.  
Wystarczyło je przewinąć, nakarmić i  
pokoić. Ewa Ch. zgodnie ze swym  
wykształceniem — pracowała w jednym  
z zielonogórskich biur.

Kiedy córka podrosła, zaczęły się  
problemy wychowawcze. Mała potrzebuje  
towarzystwa. Wymaga cierpliwości.  
Chce, by jej czytała na głos. Roz-  
wijają się powoli, ale robi postępy. Ewa  
Ch. zmuszona była zrezygnować z za-  
wodowych ambicji. Zwolniła się z biu-  
ra i znalazła się na zakręcie. Co robić?

Ktoś podał jej adres Zakładu Dosko-  
nalenia Zawodowego. Zdecydowała się.  
Ukończyła kurs, zdała egzamin. Piąty  
rok mia, odkaż jest „inicjatywą pry-  
watną”.

Jest zapracowana. Wciąż się spieszy.  
Żyje w stresie. Dnia starczy jej na za-  
łatwanie potrzeb córki, zakupy i  
gotowanie posiłków. Swoje rzemiosło  
wykonuje nocami. Mieszkanie musi  
być zawsze sprzątnięte, ponieważ do  
małej przychodzi nauczycielka.

Mówi, że z trudem utrzymuje się na  
powierzchni. Gdyby nie pomoc rodzi-  
ny, nie mogłaby utrzymać siebie i ma-  
łej, ani opłacić jej lekcji.

Bierze do ręki ołówek i pisze. Czyni  
4.300 zł, łącznie z dopłatą za prowadze-  
nie zakładu rzemieślniczego. Światło i  
gaz 2.300 zł za dwa miesiące. (Oby-  
dwie te pozycje wzrosły o sto procent!)  
Podatek 7 tysięcy zł. Opłata w ZUS  
6.750 zł. Na fundusz mieszk. 2,5 tysią-  
ca zł oraz 3,5 tysiąca zł na Cech Rze-  
mięślni. Spłata pożyczki 7 tysięcy zł.  
Łącznie Ewa Ch. wydaje na te pozycje  
blisko 30 tysięcy złotych.

Tymczasem zarobek jej, zgodnie z  
zasadniczym Urzędem Skarbowym  
wynosi 29 tysięcy zł. Z czego więc ży-  
je Ewa Ch. wraz z dzieckiem?

Z zasiłku rodzinnego, który wraz z  
dodatkiem pielęgnacyjnym sięga 4.600  
zł. Z alimentów przysyłanych na dzie-  
cko przez byłego męża. Z pomocy ro-  
dliny. Matka pobiera 18 tys. renty i  
połowę z tego daje Ewie. Wreszcie z  
niezliczonych oszczędności, które Ewa  
kiedyś zgromadziła, a które zastraszająco  
tonieją i właśnie dziś zeszły do po-  
ziomu czterocyfrowego.

Jak się okazuje, rzemiosło nie zawa-  
ża jest tak świetnie opłacane, jak gło-  
si fama. Dziedzina reprezentowana  
przez Ewę Ch. jest pracochłonna. Tru-  
dno znaleźć materiały i nabywców.  
Ostro działa konkurencja. Potrzebny  
byłby ktoś drugi, kto pilnowałby inte-  
resów.

Jak się rządzi? Zakupy robi zawsze  
w tym samym dużym samie, raz w ty-  
godniu. Jedynie po mleko chodzi dwa  
razy na tydzień: w soboty i wtorki.  
Zakupy pochłaniają zbyt wiele czasu.  
Ewa Ch. musi oszczędzać nie tylko pie-  
niądze, ale także czas, więc wyprawy  
do sklepu ograniczyła do minimum.

Śniadania robi wieczorem. Obiady mie-  
sne lub z dodatkiem mięsa. Kolacje cie-  
ple z tego, co zostaje z obiadu. Córka  
cwiczy na rowerku, ma apetyt. Mogły-  
by zjeść we dwie całego kurczaka. Ale  
Ewa Ch. nie stać na takie ucty. Od  
czasu, gdy cena kurczaków bez kartek  
podskoczyła do 820 zł za kilogram, ani  
razu kurczaka nie kupiła.

Ktorejs niedzieli miała poprosić:  
— Mam, przynieś mi pepsi, tak bar-  
dzo lubię.

Ewa Ch. skoczyła do pobliskiej ka-  
wiarenki, by kupić córce ulubiony na-  
pój — i wróciła z pustą siatką. Za ma-

łą butelkę pepsi-coli zażądano 158 zł  
plus kaucję za szkło.

— Kawa, pomarańcze, poledwica, to  
nie dla nas — mówi — głowa mi pęka,  
skąd wziąć pieniądze na remont?

W łazience wilgoć, cała tapeta odpa-  
da. W pokojach sufity szare od kurzu.

## Halina Ańska

Nieodnawiane od paru lat ściany do-  
magają się świeżej farby.

W kiosku „Ruch-u” naprzeciwko od-  
lat miedza odkładane „Politykę”, „Prze-  
gląd Tygodniowy”, „Kobieta i Życie”,  
„Ekran” i miesięczniki „Literatura”. Od  
1 kwietnia br. poprzestanie na „Pol-  
itykę”. Nowe ceny gazet uważa za zwa-  
riowane.

Nie wydaje na krawców. Wszystko  
potrafi uszyć sama. Córka nosi ubra-  
nia po starszych kuzynkach. Siostry  
przynoszą owoce i warzywa z działki.  
Złoty się i kupiły jej zamrażarkę.  
Doprawdy, ba! rodziny Ewa Ch. nie da-  
łaby sobie rady.

## POLOWANIE NA KOŚCI

Joanna B. cały rachunek ma w głowie.  
Mąż oddaje jej miesięczną pensję,  
która wynosi niezmienne 45.500 zło-  
tych. Mieszkająca z nim matka doru-  
ca 8 tysięcy zł z renty, a pozostałe 10  
tysięcy wkłada na książeczkę PKO.  
Joanna zawodowo nie pracuje i nigdy  
nie pracowała. Wychowała dwoje dzie-  
ci, które rozpoczęły już oddzielny ży-  
wot.

Zajmuje się domem i swą pracą tra-  
ktuje jak zawód. Wszystko umie zro-  
bić, co wchodzi w zakres domowych  
czynności. Piecze, gotuje, zmywa, robi  
zakupy. W szafach, kredensie, piwnicy  
i we wszystkich kątach panuje ideal-  
ny porządek.

Mężowskie pobory Joanna B. dzieli  
na trzy części i wkłada je do oddziel-  
nych kopert.

W pierwszej kopercie znajduje się  
suma potrzebna na opłaty comiesięcz-

ne: czynsz, należność za światło i gaz  
oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

— W ten sposób rośnie moja emery-  
tura — mówi, choć do wieku emery-  
talnego jeszcze jej daleko.

Do drugiej koperty Joanna B. wkła-  
da 20 tysięcy zł, które muszą jej  
wystarczy na zakup żywności w cią-  
gu całego miesiąca.

Do trzeciej wderuje resztę, czyli 15  
tysięcy zł. Z trzeciej koperty Joanna

nie: czynsz, należność za światło i gaz

oraz za radio i telewizor, spłata poży-  
czki. Razem około 10 tysięcy. Jest w  
tym też „żelazny” tysiąc zł, który sys-  
tematycznie każdego miesiąca wpłaca  
Joanna na swoją książeczkę PKO.

# Jak związać koniec z końcem?



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

— i koniec. Chłopcom kupili w ubie-  
głym roku ocieplane bluzy. Dalej dzie-  
ci muszą radzić sobie same. Gdy zakup  
odzieży staje się konieczny, Joanna na-  
rusza ustalony porządek i poświęca na  
ten cel część sumy oszczędzanej na opał.

Pulowery w „Modzie Polskiej” po 60  
tysięcy za sztukę znajdują się poza za-  
sięgiem wyobraźni. Cała rodzina cho-  
dzi w sweterkach zrobionych przez  
babcię. Krzesła i kanapy też ob-  
ciągnięte są wydzierganymi przez nią  
pokrowcami. Nawet pies w czasie mro-  
zu wychodzi na dwór w sweterku ba-  
biniej produkcji.

Ścisły reżim finansowy teoretycznie  
wyklucza wyjazdy na urlop. Mimo to  
jakoś co roku wyjeżdżają. Od lat w to  
samo miejsce, do zakładowego ośrodka  
nad jeziorem. Aby pobyt kosztował  
mniej, nie korzystają ze stołówek. Jo-  
anna sama robi obiady, najczęściej z  
ryb złowionych przez męża.

Dziennie, nie może wydać więcej niż  
660 zł, bo na tyle tylko pozwala Joan-  
nie B. zawartość drugiej koperty. Czy  
jest to możliwe? Okazuje się, że tak.  
Pod warunkiem, że ma się działkę. Z  
działki, którą z zapalem zajmuje się  
mąż Joanny, mają warzywa i owoce  
przez okrągły rok. Najpierw świeże,  
potem z piwnicy i z zamrażarki. Joan-  
na B. zaprawia jesienią średnio 600-  
700 słoików. Ma własne wino, soki, ga-  
laretki, powidły, marynaty, kiszoną ka-  
pastę i ogórki.

— Ale zakupy! Choć wiedzieć, jak je do-  
konuje, dysponując tak małą sumą?

— Na początku miesiąca robię gene-  
ralny przegląd zapasów — mówi Joan-  
na B. Gdy oszczędza się na wszystkim,  
zawsze coś zostaje: mąka, cukier, ka-  
sza. Ponadto mam zawsze zrobiony przez  
siebie i ususzony makaron, a w zamra-  
zarce ruskie pierogi i kluski śląskie.  
Pozostaje mi tylko uzupełnić spiżarnię  
np. kilogramem ryżu, paroma kostkami  
margaryny czy kilkoma jajami.

Od razu kupuje całą ilość mięsa na  
kartki, wybierając gatunki wyłącznie  
najlepsze, bo te, jej zdaniem, najbar-  
dziej się opłacają. Mięso dzieli na por-  
cje i zamraża, planując posiłki na cały  
miesiąc.

— W ten sposób nie miewam odwie-  
cznego problemu „ojciec, co ja dziś ugo-  
tuję!” — mówi Joanna.

Wstaje pierwsza, robi całej rodzinie  
kanapki i wyrusza na polowanie.

— Poluję na bezkarkowe kości od  
schabu, nożki wieprzowe i hamburger-  
y — mówi. — Robię z tego pasztety i  
galarety, dzięki czemu mogę kupować  
mniej wędlin i w ten sposób kartkowe  
mięso przeznaczyć na obiady.

Joanna ma lat 42, a wygląda na 52.  
Ukończyła liceum zawodowe i dwa lata  
studiów. Omija fryzjera i kosmetyczkę.  
Była kiedyś ładną, wesołą dziewczyną.  
Dziś jest kobietą zapracowaną, zanie-  
dbaną, ubraną w byle co. W Rolejkach  
i polowaniach na schabowe kości tra-  
ci się wznieć, niestety.

## Z OŁÓWKIEM W RĘKU

Anna K. jest sprzedawczynią na pół  
etatu. Ma ukończone studia ekonomicz-  
ne i paroletni okres pracy w dużej, bo-  
gatej firmie. Przed dwoma laty po cięż-  
kiej chorobie zmuszona była pójść  
na rentę. Otrzymuje co miesiąc 17 ty-  
sięcy z ZUS. Za cztery godziny dzien-  
nie stania za ladą wypada jej średnio

13 tysięcy złotych. Przy tym, co tu u-  
krywać: ma dostęp do artykułów, z  
których co najmniej kilka nosi miano  
deficytowych.

Mąż Anny K. jest kierowcą. Jeździ,  
jak to określa, na okrągło. Wypoczywa  
tylko nocą, gdy śpi. Nie ma czasu na  
żadne rozrywki. Zapomniał, jak wy-  
gląda teatr czy kino. Nie pamięta też,  
kiedy dotrwał do końca filmu w tele-  
wizji. Przesypiał nawet „Różową serię”.  
Ale za to od kasy w przedsiębiorstwie  
odchodzi co miesiąc z wypchanym por-  
tfelem. Co miesiąc wręcza żonie 60-  
70 tysięcy zł. Łącznie więc na prowa-  
dzenie domu dla trzyosobowej rodziny,  
bo jest jeszcze 11-letni syn, Anna K.  
ma miesięcznie około stu tysięcy. Bil-  
sko trzy razy tyle, co Ewa Ch. i dwa  
razy więcej, niż Joanna B. Jak rządzi  
tymi pieniędzmi? Jak żyje?

Odpowiedź na drugie pytanie brzmi:  
żyje skromnie. W odpowiedzi na pyta-  
nie pierwsze pomóc ma gruby notatnik.  
Anna K. wszystkie wydatki zapisuje.

— Zaczęłam te buchalterię, gdy  
stwierdziłam, że ceny uciekają zbyt  
szybko i coraz trudniej jest cokolwiek  
zaplanować — mówi. — Po trzech mie-  
siącach udało mi się zorientować, ile  
na co wydaję oraz ile czego potrzebu-  
ję, by dom, pomimo wstępującej dro-  
żyzny, funkcjonował nie gorzej, niż  
przedtem.

W rubryce „opłaty stałe” figuruje  
suma 10.500 zł. W rubryce „żywność”,  
rozliczowane sumy miesięcznych wy-  
datków, obrazują sytuację panującą na  
rynku. W styczniu br. Anna K. na ar-  
tykuły żywnościowe wydała 24 tysiące  
zł, w tym 9 tysięcy na mięso i wędli-  
ny. W lutym już 28 tysięcy zł, w tym  
11 tysięcy na mięso. W marcu rodzina  
K. przeżyła 29 tysięcy zł, w tym mie-  
sa i wędlin za 11,5 tysiąca zł.

Drugą z kolei pozycją są wydatki na  
proszki i płyny do prania, mydło,  
szampony itp. W styczniu br. Anna K.  
wydała na te artykuły 2,5 tysiąca zł,  
w lutym o tysiąc zł więcej, a w marcu  
już prawie 5 tysięcy.

Szewe, krawiec, pralnia chemiczna,  
naprawa telewizora, wymiana zamka;  
wszystko to łącznie w pierwszym kwar-  
tale kosztowało 11 tysięcy złotych.  
Średnio 2,5 tysiąca zł kosztują papiero-  
sy, które wypala pan domu. Około 4  
tysiące korepetycje syna.

W ciągu trzech miesięcy br. rodzinie  
K. przybyło książek za 7 tysięcy zł. W  
przekopie zawisło nowe lustro za 4.700  
zł. Kwotę 1.200 zł przeznaczoną na pra-  
sę Anna K. postanowiła utrzymać, re-  
zygnując z kilku tytułów. Jakich?  
Skręśliła mężowi „Motor”, synowi  
„Skrzydlatą Polskę”, a sobie „Prze-  
kroń” i „Film”.

— Mam oboje po 35 lat, ciastie mie-  
szkanie bez telefonu i żadnych perspek-  
tyw na lepsze — mówi. — Z tego, co  
uda się zaoszczędzić w miesiącu i od-  
łożyć w PKO, nie kupimy samochodu  
ani domu z werandą, o jakim marzy  
nasz syn. Może za parę lat będzie nas  
stać na pianino dla niego? Choć i to  
nie takie pewne. Może za 5-10 lat uda  
się gdzieś wyjechać, np. zobaczyć Akro-  
pol lub Koloseum? Wszędzie jest coraz  
droższe, więc wątpliwe i w to...

## NADZIEJA BEZ MARZEN



## Psalm czternasty

Synu Adama — pośród stworzeń świata  
wywyższony w Biblii — lecz nie poznany do końca.  
Na wertepach i rozwaliskach epoki  
uderzy w twoje uszy  
apokaliptyczny dzwon.  
Jakimi słowami opisać twój gasnący uśmiech,  
którym przymiotnikiem zastąpił imię  
doświadczone epoką — aż po słoty atomowych  
śmietników?  
W ślepych zaułkach butwiejących ideałów,  
wyzbitych wspólnoty krwi,  
na arenach szaleństwa, gdzie konają róże ostatnie  
rodzisz zgnile owoce pschy.  
Omotany siecią pozorów,  
w zawijasach dzikiego tańca egzystencji,  
w wiecznej niezgodzie ze słowem sprawiedliwym  
oddaleni od głosów pojednania  
mordują się twoi synowie wzorem gladiatorów.  
Ale ty z instynktem półzwierza,  
upodobniony martwością ducha  
do uschniętego lasu,  
co lament śmieje ci już rozrzucił wiatr —  
karmisz dzieci swoje  
owocem znieczulicy —  
aż ogłuchną na prośbę i jęk.

## Psalm szesnasty

Jak mam ci słowa radości otworzyć —  
krynica nadziei ostatecznej?  
Przenieść miłości biel  
przez śmietniki zaułków i ryk ulic,  
gdzie ci co do braci nie wyciągnął ręk  
oddając gorycz istnienia  
trędownym oddechom nocey —  
zachłysnęli się heroiną i alkoholem.  
A myśli ich — fałszywe zeznania czasu,  
a słowa ich — skowyt wyklętych aniołów,  
co z odrzwy piekieł patrzą na utracony raj.  
I oto w krajobrazie spopielonych kwiatów,  
gdzie odrętwiałe serca nie biją dla Boga  
nadejść zmierzch bez perspektywy świtu.  
I napelniają się myśli moje goryczą jęku,  
i toną nadzieje w studni rozpaczey,  
choć chciałem dojrzeć iskrę twoich oczu  
wszystkie klejnoty ziemi.  
chronić miłość płatkami piwonii,  
być w chórze ust co wielogłosem prawdy  
składają psalmy bez zebraków ducha  
i grobów wywiedzionych z domu obłąkanych.  
Ja mam ci słowa  
radości otworzyć  
bez skargi na planetę splugawioną ziemi —  
krynico nadziei ostatecznej.

## Słup na boisku

Ciąg dalszy ze str. 1

bieżących. Wszystkie ludowe kluby w województwie zielonogórskim zatrudniają 11 trenerów, 18 osób za swoją pracę trenerską nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia. Ludowym klubom brakuje pieniędzy na wszystko; nie wspierają ich bogate zakłady pracy, gdyż takich nie ma na wsi, z wyjątkiem PGR-ów, które wspomagają i szkoły, i kluby kultury, i budują drogi, L.

Zdarzają się wyjątki. W gminie Zielona Góra wszystkie rady sołeckie, działające fundusze wiejskie, nie zapomina o drużynach piłkarskich LZS. Po kilkadziesiąt tysięcy na rozwój i utrzymanie LZS, przeznaczają urzędy gmin. Niektóre rady narodowe też są hojniej

szę. Gminna Rada Narodowa w Zarach w ubiegłym roku przekazała sportowcom wiejskim 300 tysięcy złotych. Rada Sołecka wsi Olszowice z posiadanych 420 tysięcy złotych — 200 tysięcy przekazała szkole, a 50 tysiącami wspiera LZS. Całe Województwo Zrzeżenie LZS otrzymało w ubiegłym roku 25 milionów złotych, to znaczy mniej niż kosztuje zorganizowanie jednego zielonogórskiego festiwalu, mniej niż kluby pierwszoligowe płacą za piłkarza.

Sport na wsi nie rozwija się równomiernie. Młodzież wiejska jest coraz słabsza fizycznie. Z LZS ubywa kobiet. Małe ilości kół we wsiach pegeerowskich. Przyczyną tego jest wiele, o niektórych już wspominałem, o innych później. Od niedawna obowiązują nowe

zasady finansowe, ściślej mówiąc rozliczanie ryczałtów, które otrzymują sędziowie od organizatorów zawodów sportowych, w tym przypadku meczów piłkarskich. Sędzią, zdaniem Izby Skarbowej, jest zobowiązany wypełnić pilk stogowych oświadczeń, zaś zięcenia- dawca, czyli drużyna LZS, sprawdzić te i wliczyć podatek. Ani sędziom, ani drużynom LZS nie chodzi o ten podatek, lecz o to, jak go obliczyć, a może: kto ma go obliczyć, i kto wliczoną kwotę powinien odprowadzić do Izby Skarbowej? W tej sprawie przepis określa, że podatek potrąca organizator meczu, czyli LZS, czyli tych kilkunastu piłkarzy, którzy nie dość, że kopią piłkę, to jeszcze muszą się znać na finansach. Ba! muszą prowadzić księgowość, być przygotowanymi na przyjazd inspektorów kontroli finansowej, którzy sprawdzą papiery. Przecież to jest najgłupszy przepis, jaki dotyczy działaczy społecznych. Ustawił go ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia o pracy społecznej, kto nigdy nie był na meczu drużyny B-klas, komu się wydaje, że każda LZS to dyrekcja i księgowość, gabinet wyłożony szwielkowymi drewnem. Ktoś też wymyślił, że obserwatorzy z ramienia Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Zielonej Górze, którzy patrzą się rozrywkom piłkarskim, powinni rozliczać delegacje służbowe w LZS. Albo: gospodarz meczu ma obowiązek zapewnić sędziemu sprzęt (buty, skarpety, spodenki i koszulki). Kluby nie mają tego sprzętu, więc w placują sędziom po fles tam złotych, a sędziowie, przygotowani na to, nawet nie protestują. Jeśli rzecz dotyczy klubu bogatego, pal licha, ale te ubogie LZS nie mają pieniędzy na zakup sprzętu dla swoich zawodników. Podobnych bzdur dotyczących sportu mógł być wymyślić wiele.

W Zielonogórskim istnieje kilka zrzeszeń sportowych, które skupiają 58 tysięcy osób uprawiających sport wyciepowo i rekreacyjnie. Najliczniejszą organizacją wśród nich są Ludowe Zespoły Sportowe, zrzeszające 23 tysiące mieszkańców wsi. Ta najliczniejsza organizacja pomaga żyć ludziom w wieku „od dwu do stu lat”, jak mówią w Wojsztynskim. LZS organizują imprezy sportowe i turystyczne (Święto sportu wsi, Ziela Wieża, Umacnianie sojów listyczna obronność kraju, Złoty Kask, Roworem wszędzie. Stop — dziecko na drodze, Szlakiem wiedzy i przygód, Z wizytą u sąsiadów. Czelmy pamięć tam tych lat, Kulisiem przez wieś). Domagają się „boiska w każdej wsi, ośrodka sportu i rekreacji w każdej gminie”. Upowszechniają wiedzę historyczną, współdziałają z wieloma organizacjami reinfków, młodzieży i sportowców LZS środkowego Nadodrza włączyły się do budowy w Dąbrowie Wielkopolskiej, gmina Zbąszynek, Szkoły Podstawowej — Pomnika Rodła. W tej wsi już przed wojną powstał „Sokół”, który działa i rozwija się nadal. Więc członkowie LZS regionu postanowili, że do ukończenia budowy szkoły będą zbierać książki, które przekażą dąbrowczanom w 60-lecie powstania szkolnictwa polskiego na dawnym Pograniczu, w marcu 1989 r.

### W notesie oficera MO

## Gwałciciele i chuligani

W praktyce śledczej i sądowej zabójstwo połączone ze zwałceniem rozumiane jest jako czyn popełniony z motywów seksualnych. Ustalenie takiego motywu z reguły nie przysparza organom ścigania większych trudności. Motyw można określić na podstawie oględzin miejsca zalezienia zwłok oraz badań lekarskich.

Jednak, jak wskazuje statystyka, wykrywalność tych zabójstw jest niższa, niż wykrywalność zabójstw z innych motywów. Wiąże się to zapewne z faktem, iż często sprawcy zabójstwa nie łączą bliskie kontakty osobiste z ofiarą. Ofiarami zabójstw z motywów seksualnych najczęściej są kobiety przedtem sprawcy nieznane lub mało znane, spotkane przypadkiem, nierzadko prostytutki. Tak było np. w sprawie Stefana Rachubńskiego z Bydgoszczy lub słynnego „wampira z Gałkowskiej” — Modzelewskiego.

Jako przykład zabójstwa popełnionego z motywów seksualnych, można przytoczyć następującą sprawę.

Władysław T. miał lat 19, mieszkał na wsi i był z zawodu dekarzem. Kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem, podczas zabawy spadł z dachu. Od tej pory często skarżył się na silne bóle głowy.

Maria B. znał z widzenia. Była wdową, matką siedmioro dzieci. Ponadto kobieta znana powszechnie ze skłonności do nadużywania alkoholu oraz łatwości w kontaktach z licznymi mężczyznami.

Pewnego wieczoru Władysław T. poszedł na zabawę taneczną. Spotkał tam Marię B. Gdy oboje byli już nietrzeźwi, Władysław T. zaproponował kobiecie wyjście z sali. — Usiadzmy na ławce i porozmawiamy — powiedział, po czym nie czekając na odpowiedź, wyprowadził Marię B. z zabawy, zabierając ze sobą butelkę wódki.

Kiedy usiedli, Władysław T. zmusił Marię B. do wypicia alkoholu i zaproponował jej stosunek seksualny. Kobieta nie zgodziła się i chciała odejść. Rozłoszczony odmowa Władysław T. przewrócił Marię B. na ziemię i wbił ją siłą. Podczas stosunku bił kobietę pięściami po głowie.

Jak później relacjonował, Maria B. prosiła go, aby „dał jej spokój bo ona ma siedmioro dzieci”. Prośby nie odniosły skutku. Po stosunku Władysław T. dalej zmuszał się nad kobietą, kopiąc ją butami w głowę.

Zaciągnął ją kilkanaście metrów dalej, gdzie tak długo bił, aż stwierdził, że przestała dawać oznaki życia. Wtedy od był na niej jeszcze jeden stosunek, po czym powłókł ciało dalej, w jeszcze in-

ne miejsce. Tam usiłował raz jeszcze od być stosunek, lecz w końcu zrezygnował. Opuszczając miejsce zabójstwa, na sywał piasku do narządów płciowych ofiary.

W tym przypadku sprawca miał skłonności sadystyczne, objawiające się w brutalnym znęcaniu nad ofiarą, nawet wtedy, gdy już nie żyła.

Sprawcami zabójstw z motywów seksualnych bywają wyłącznie mężczyźni. Podobnie też samych mężczyzn spotyka się wśród sprawców zabójstw z motywów chuligańskich.

Zabójstwa z motywów chuligańskich wiążą się zaryzykują z incydentami powstającymi na zabawach publicznych, w restauracjach itp. Zabójstwa te przeważnie nie są planowane. Dochodzi do nich w wyniku doraźnego konfliktu między sprawcą a ofiarą.

Stwierdzono też, że większość sprawców systematycznie nadużywa alkoholu i już wcześniej pod jego wpływem wykazywała agresywne zachowanie.

Przykładem zabójstwa popełnionego z motywów chuligańskich może być następująca sprawa.

Bracia Ryszard i Andrzej K. wybrali się na zabawę taneczną. Ryszard K. zabral ze sobą noż. — Może się przydać — powiedział do brata.

Już od momentu wejścia na salę o-baj bracia zachowywali się prowokująco. Zaczęli uczyć zabawy, wyraźnie szukając powodu do awantury. Wreszcie pod koniec zabawy Ryszard K. z białego powodu wyrwał hółkę, podczas której użył noża i ugodził nim śmiertelnie Lecha O. Sąd Wojewódzki w Zielonej Górze skazał Ryszarda K. na 25 lat pozbawienia wolności.

Sąd Najwyższy w 1966 roku ustalił wytyczne wymiaru sprawiedliwości w sprawach przestępstw o charakterze chuligańskim. Powiedziane jest wyraźnie, że chuligańskiego charakteru przestępstwa należy doszukiwać się w sposobie i w pobudkach działania sprawcy. Jeśli działanie jego jest agresywne i brutalne, jeśli nie zostało wywołane okolicznościami bądź sytuacją i jeśli na stał się bez powodu lub z powodu białego, mamy do czynienia z przestępstwem chuligańskim.

MAREK KEM



Robert Bondaryk z LKS „Bizon” Bieganów, były mistrz Polski juniorów w kolarstwie przełajowym. Foto: Tadeusz Gawaliński



Antoni Jasek siedział przy oknie i patrzył w las. Las rozległy, rosnący gęsto na terenie pięciu gmin. Był ten las tuż za oknem domu i nadleśnictwa. Od trzydziestu trzech lat ten sam. Ale nie ten sam, co wtedy, w czasach chłopięcych.

— Pamiętaś, przyszedł nam kolację, gdzieś na dwudziestą — powiedziała mu nagłe żona nauczycielka. — Ja mam dziś w Krośnie wywiadówkę i wcześniej jak po Dzienniku nie wrócę. A jakby zanosiło się na deszcz, to nie zapomni zabrać pościeli z werandy.

— Nie obawiaj się, Krysiu, nie zapomnę — odpowiedział, myśląc o tamtym deszczu, gdy miał osiem lat... Teraz się wody do wanny nie zbiera. Kwaśne deszcze trują rośliny, zielonogórski las od wszystkich stron narażony jest na szkody; deszcz, nie deszcz. Od zachodu Niemcy ze swoich fabryk puszczają pyły i gazy. Od wschodu Huta Miedzi w Głogowie. Jej wycieki z wiatrem lecą daleko. Ci z ochrony środowiska na zielonogórskich ulicach, jak mówił znajomy, znaleźli ślady siarczanego związku. A z południa... Ech, to południe! W zeszłym roku trzeba było oderwać ludzi, choć ich wciąż za mało, od robót w lesie i posłać do Świeradowa, żeby tam pomagali chować umarłych las. Czechosłowacy trują, ginie zielona roślinność, wysoka w strefie wczasowisk i uzdrowisk, a tu mi się marzy wanna z deszczówką...

Wyrzwał w ślad za żoną. Poszła do przystanku. Dobrze jest to nasze miejsce, mimo wszystko, pomyślał. Krosno leży niedaleko i ta Odra, i łaki nad nią piękne, przeżyliśmy tu ładnych parę lat...

Westchnął, każda samotna godzina stała mu się teraz długa i smutna, nawiedzały go zmienne nastroje. Zaczął się ostatnio bać o życie. O swoje serce. Tych parę tygodni w szpitalu, patrzenie na ludzkie cierpienia, na śmierć, wpłynęło na niego źle. Czy to starość? Spójrz na lustro. Wysoka postać, prosta. Górą spod Żywca, mógłby jeszcze w tani iść, na halach wołać. Ta czupryna co prawda nie jest już ciemno-blond lecz posiwiała, ale sterczy jeszcze gesta we wszystkie strony, rozwiana przez wiatr, ej, Antos!

Nie jest tak źle, uspokajał się. Do emerytury jeszcze daleko. A poza tym, co to jest dla leśnika emerytura? Sosna rośnie sobie do stu lat i wciąż jest zielona, to i leśnik nadziejcie zieloną musi mieć w głowie stale...

Tak sobie rozmyślał, rozkoszując się kawalkiem wolnego dnia. Ale czy to jest naprawdę wolny dzień, kiedy czło-wiek mieszka o sto metrów od nadleś-nictwa? Zawracanie głowy! Przecież wciąż się szarpie z myślami związanymi ze służbą. Gdzie na przykład naprawić samochód „Aro”?

A i robotników mało. Wiosną się wprowadziło zasadzilo wszystkie sosnki, w maju było po robocie, jak nigdy przez te trzydzieści trzy lata. Ale pielegnować trzeba, chronić przed szkodnikami, trzebież zrobić...

Przejechał czupryną, zabrał z werandy pościel, jakos zrobiło mu się zimno. Trzeba by w centralnym napalić — pomyślał — choć to jeszcze wiosna.

Owajac się swietem, poszedł do kuchni przygotować kolację. W cukiernicz-ce znalazł... mrówki. Normalna rzecz. Gdzie jak gdzie, ale u Jasków żadnego żywego stworzenia się nie niszczy. Mróweczki się wybierze, po jednej i wynie-sie pod drzewo — oddając naturze. Tak samo jest z ptakami, dla których domki na gałęziach wiszą.

Kocha ten las, otoczenie ludzi. A prze-cież wtedy, w listopadzie 1934 roku, wca-

le nie chciał tu zostać! Po ukończeniu studiów w uczelni krakowskiej, zaczął na nakazie pracy jako adiunkt w Lubsku. Może by w tym mieście pozostął, ale 17 maja wybuchł pożar w Brzozie. Dali mu delegację na zagospodarowanie tego pożarzystka. Pochłonięto mu to dwa lata.

A potem już pozostał. Jako nadleśniczy.

Adam Szczerba był wtedy dyrektorem w Zarządzie Okręgu w Żarach, a wiadomo, że jak on coś komuś zapropono-

## Halina Simińska

wal, to nie było odwrotu. Potrafił wytłumaczyć, zachęcić, ani się człowiek obejrzał jak z naburmuszonego, nastawionego na „nie”, robił się potulny, posłuszny.

Już po roku pracy z nowym tytułem i obowiązkami, tak potrafił Jasek zjednać załogę i zorganizować jej pracę, że nadleśnictwo w Brzozie zdobyło pierwsze miejsce we współzawodnictwie nadleśnictw okręgu. I to w jakich warunkach! Place były gorzej niż marne, nie było samochodów. Mało pilarek.

Wstawał o świcie, jechał rowerem albo autobusem na wieś i po południu przywoził deklaracje stu ludzi do pracy w lesie. Nikt ich na stanowisko robota nie wozili. Przejżdżali czym kto mógł, albo zwyczajnie szli. Przecież on sam — nadleśniczy, dopiero w roku 1956 kupił sobie starą syrenkę...

Pociemniało w kuchni. Zachmurzyło się niebo. Krystyna jednak miała rację — pomyślał — będzie padało. To skojarzenie z tamtym deszczem, dzieciństwa skierowało jego myśli w inny kierunek. — Syn, Miłosz. Jedyné dziecko. Skończył w Zielonej Górze WSI. Dział ochrony środowiska. Tu mieszka, z rodziną. Kawałek jeszcze. Gdzie mu lepiej będzie? W fabryce płyt w Krośnie się zatrudnił, jest tam taki dział, gdzie jego specjalność się przędzie. Coś go długo dziś nie widział.

Pomyślał o tym dużym i już urzędowym w życiu chłopaku i znowu na chwilę poczuł się stary i chory. Niedobrze jest mieć takie skojarzenia. Nagle w środku piersi coś uciska i boli, a w szpi-talu mówili przecież, że to nieomylny znak, iż trzeba bardzo uważać na siebie, kawy już nie pić, nie denerwować się, nie przemęczać.

Pewnie, nie musi się już teraz tak bardzo zdawać sam na siebie. Ale o najważniejszej jednak trzeba się martwić: jak wychować leśniczych. Zaczął w myśli liczyć leśniczków i nazwiska. I odetchnął. Jednak sporo tej roboty wy-chowywał już za nim. O tak! na przykład Adam Miłaniewicz, obecnie leśniczy w Strużce, zapoczątkował technikami leśnymi. Albo Ryszard Twardowski — leśniczy z Czekłina. Można na nich liczyć. Albo taki nieoceniony chłopak, jak adiunkt Jerzy Piekarczyk. Zapoczątkował czel studia leśne. Ten daleko, zjadzie, jeśli się nie zmanieruje!

Dużo zależało od tego, gdzie się młodego chłopaka da, kogo mu się podsunie za przykład. Tak! Władec Stelmachowski na przykład, leśniczy sekretarz partii w nadleśnictwie, tu się rozwinął a teraz inni, młodzi z niego przykład biorą.

Las rośnie, trzeba się go i wycina, zwykła kolej rzeczy. Dosadza się podsyty, szkółki pielegnuje, wszystko z tą za-logą, która tu też rosła razem z lasem. No tak, no... ludzie, nowy las. Ale jak się jedzie przez Polskę, to nierzadko diabeł człowieka bierze, gdy widzi się te dymy. Jak tak dalej będzie to nasza praca, za parę lat, pójdzie i tak na marne. Nie tylko nie będzie deszczówki do mycia głowy, ale i oddychać nie będzie czym. Usiadł przy kuchennym stole, smarował kromki i wciąż nie mógł się uwol-

bić od drugiego stały robotnik mógłby już mieć nowe mieszkanie. Ale biurokratycznie nie można na ludzkę sprawy patrzeć. Są tacy, co nie pracują a mieszkać muszą. Co zrobić z takim młodym, który musi iść na rentę, bo serce ma chore?

Wyobraził sobie siebie w takiej sytuacji. Wzrok padł na gazetę. Jakies sprzązanie z sejmowej sesji. Trzeba by poczytać, człowiekowi czasami pół godziny brakuje na lekturę.

# Ludzie i las



Fot. TOMASZ GAWALKIEWICZ

nić od tych myśli, tak się śle związanych z pracą. Ilez to jeszcze jest w lesnictwie spraw nie rozwiązanych do końca! Toż przecież przez tych trzydzieści parę lat, jakim zebrał te wszystkie środki, zabierane na wypłatę odszkodowań za szkody wyrządzone przez zwierzęce łow na rolniczych polach, tobym wioskę-osadę leśną mógł wybudować dla załogi... A jednak budujemy wolno. W latach osiemdziesiątych przybyło wpraw-dzie 26 nowych mieszkań i statystycznie

Ten Sejm... Dobrze, że Janek Skrzetowski tam jest. Oprócz niego jeszcze dwaj innych nadleśniczych z Polski. Nareszcie gospodarka leśna ma jakieś przedsta-wicielstwo w Sejmie. Są to ludzie z la-su, nie p'zesłanki biurokracji. Jak trzeba to i dyrektora Ryszarda Działuka sprostują, zresztą on nie jest w Sejmie, tylko w Radzie Doradczej przy Jaruzelskim. Ja swoją kadencję w Radzie Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie od-prawilem, com mógł, to tym odpow'e-

działnym za kraj, powiedziałem. Sumie nie mam spokojne, ale skutków tych za-biegów jakos do dziś nie widzę! Może — jak mówi Janek — w tej nowej usta-wie coś dobrego ustala a najważniejsze, żeby w praktyce leśnej nowe rzeczy da-lo się zastosować, ludzi inaczej, do tych gęstych naszych zielonych, ustawić.

Ani się spozostregł, jak na tych rozrachunkach z samym sobą, środowiskiem i władzą, doczekał się powrotu żony. Zmęczona była i w jakiejś rozterce. Do-myślał się, że znacznie rozważanie tema-tów starych, jak ich małżeństwo i jej praca w szkole.

Dobrze przewidział. Widząc jego błądą twarz i to znamienne zmęczenie, i nie-pokój w oczach, który zapamiętała od jego powrotu ze szpitala, zaczęła:

— Może byś trochę odpoczął od tych społecznych spraw?

Nie odpowiedział z miejsca. Coś tam przesuwiał i odstawiał a jednocześnie szybko w myślach sumował te „sprawy”. W radach narodowych pracował od początku. Poprzez gminne, powiatową w Krośnie, wreszcie Wojewódzką. Członkiem Egzekutywy Komitetu Powiatowego w Krośnie ile się nabył! Teraz „wlaź” w coś trudniejszego, bo wybrał go na przewodniczącego Miejsko-Gminnej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR.

Siedziała w milczeniu. Podsuwał jej kromki, nalewał herbatę. Jedli w mil-czeniu. Ale długo nie mógł wytrzymać, więc spytał: — Krysiu, jak tam w szkole?

— Dobrze, Antos — leciutko uśmiech odmiódził jej twarz. — Wszyscy moi wy-chowankowie przejdą do następnej klas-y. A zmęczona jestem po rozmowach z rodzicami. Ty wiesz, jakie problemy mają niektóre matki? Z wyzywaniem, ubran'em... Zaczyna się taka rozmowa niby od drobniaków: braku białego ko-lanierzyka a kończy na proszku do prania, cenach i reformie gospodarczej. Ja im to muszę wyjaśniać i wykladać n'by „dwa razy dwa”...

Cisze, jaka znowu nastąpiła, zakłócił dzwiek telefonu. Poderwali się oboje. — Siedź Krysiu, odbiorę, chyba się do il-chy las nie pali... A gdyby nawet, to bu-rza na włosku — pomoże.

Słuchał, trzymając kurczowo słuchaw-ke a twarz mu się wygładziła od wewnętrznej radości. — Krysiu — rzekł — dzwonił z zarządu okręgu. Dyrektor zlecił dyżurnym, żeby mnie zawiadomi-li, mam jechać do Olsztyna na central-ne obchody dnia leśnika i drzewiarza. Tam mają mi dać Krzyż Kawalerski. Musisz mi „undur ładnie odwieźć”...

Wstała. Pocałowała go. Ta wiadomość uradowała ich oboje. Już nie mieli ochoty na dalsze codzienne rozważania.

Burza rzeczywiście nadeszła i rozszalała się. Razem z nią, w rozbiłkach błyskawic, cały oczekiujący deszczem, wpadł do domu Miłosz. Nie pytał go o przyczynę późnego powrotu, może jak nierzad, coś robił po godzinach, a może był na randce.

— Ależ głodny jestem — zawolał — widząc, że ucielesz tym matkę. A ty tato, nie martwisz się o szkółkę? Po tej ulewie różnie tam może być. Może jut-ro noidziemy tam razem, niedziela prze-cież...

— Tak, chyba tam jutro zajrzęmy, od-powiedział odcier. Patrzył w okno. W ostrym świetle błyskawic widział było na grubym pniu maleńki domek dla ptaków.

## Pasja według leśnika

### Stefan Cieślą

— Pokochałem go od dziecka. Każde wakacje spędzałem u dziadka leśnika, po ukończeniu gimnazjum rozpocząłem pracę jako praktykant leśny. W lesie pracowałem przez wojnę, niedaleko Poznania, a w maju 1945 r. pojechałem na Zachód z grupą operacyjną, oddel-gowaną przez poznańską dyrekcję. Jesz-cze nie do Dębna, gdzie przyjechałem dopiero w kwietniu 1950 r. i zostałem do dziś...

Lasy były wypalone i zaniedbane: nie było ludzi, mieszkań, sprzętu. Trzeba było wszystko opisać, uporządkować i zacząć planowo gospodarować. Nie było węgla, kraj potrzebował dużo drewna, ale przecież nie można było bezmyślnym wyciekiem doprowadzić do zakłóce-nia praw biologii i ciągłości życia la-su...

Dziś widzę, że nie udało się temu zapobiec. Szybko pojawiły się wielolet-nie plany i zarysowane zwykłe roczne normy wycieku, które wtedy były świę-te i nie można było ich nie wykonać. Padły pod siekierami stare drzewa, wprowadziliśmy sadzonki coraz więcej no-wych, ale było to jednak okradanie sa-mego siebie z cennego dobra. Dużo póź-niej normy cięć zaczęły być wyliczane rozsądnie, na podstawie zasobności lasu i przyrostu drewna. Nie było też mowy o przekraczaniu planów, owszem, zale-

stania czy pielegnacji — tak, ale nigdy wycieku. Opamiętanie przyszło za póź-no. Gdy na początku lat 50-tych zaata-kowała drzewa mniszka, las bez chemii i samolotów obronił się jeszcze sam. Niedawna inwazja szkodników, na początku lat 80-tych, była już trage-dią. Mimo pomocy człowieka, przetrze-biony i zatruty przez przemysł las nie miał już jak się obronić. To była też moja tragedia.

Takich ciężkich chwil było więcej, ale wtedy, na początku, wynikały one z czegoś innego. Brakowało ludzi, trzeba było jeździć i werbować ich po całym kraju, budować domy i osady, poma-gać w urządzeniu się, aby zostali. Róż-ni przyjeżdżali wędrownicy, szabrowni-cy, ale i tacy, którzy zapuścili tu ko-ronę i dziś pracują w lesie ich dzie-ci. Drewno do tartaków wywozili chłopi własnym transportem, bo obowiązy-wały wtedy nakazy. Ale zarabiali przy tym dobrze i robili to nawet chętnie. Najcięższą pracę wykonywały konie, dużo później zastąpiły ją ciągniki, ale nawet dziś konie są ciągle potrzebne. Dostaliśmy „Ursusy”, tyle że były z ni-mi ogromne kłopoty, bo strasznie iskrzyły. Za każdym siedzi leśnik z tłum-nicą i gasił iskry. Lasy paliły się czę-sto, pożary były prawdziwą klęską, bo nie było telefonów, sprzęt do gaszenia był za słaby i nim strażnicy dojechali i ugasił, z dymem szło wiele hektarów drzew. Trzeba było coś zrobić, aby las ratować i tak zostałem strażakiem. Do niedawna przesyłowałem nawet dę-bnowskiej OSP.

To wcale nie jest tak, że leśnik to człowiek który siedzi w gęstym, nie zna świata i nie go więcej nie obchodzi. Od początku trzeba było mieć kontakt z ludźmi, współpracować z rolnikami, z myśliwymi, z miastem. Budowaliśmy drogi, osady, organizowaliśmy różne czyni i tak się człowiek wciągnął w działalność społeczną. Byłem przez wie-le lat radnym, pełnił nadal różne funk-cje partyjne w związkach zawodo-wych, w PRON, w Radzie Łowieckiej. Nie uchylałem się od tego, to było zre-szta konieczne, bo wynikało i wlażalo się z pracą. Wiem, jest taki obraz leś-nika, co to chodzi sobie po lesie z fu-zyką i pogwizduje beztrosko. To nie ja, ja już taki może dziwak jestem, że nawet urlopów nie brałem i rodzi-na nie miała ze mnie za wiele pożył-ku. Dziś odrabiam trochę te zaległości, pomagam chować wnuki, a mam ich jedenastu.

Cale lata uczyłem się sam i uczyłem innych. U mnie zaczynał prace dzisiej-szy dyrektor szczecińskiego okręgu la-sów, byli praktykanci z zagranicy, ur-zędnialem pokazy, bo miałem najlepsze szkółki. Potrafiłem współżyć z ludźmi i u mnie ludzie pracowali zwykle do emerytury. Cieszyłem się z młodych, którzy przychodzili do leśnictwa i rza-dko który się nie sprawdził. Las trze-ba czuć, ale bez wiedzy i naukowych metod robi się mu tylko szkoda. Sie-dem lat pracowałem ze mną mój nastę-pca i widzę, że dobrze sobie radzi, ma efekty.

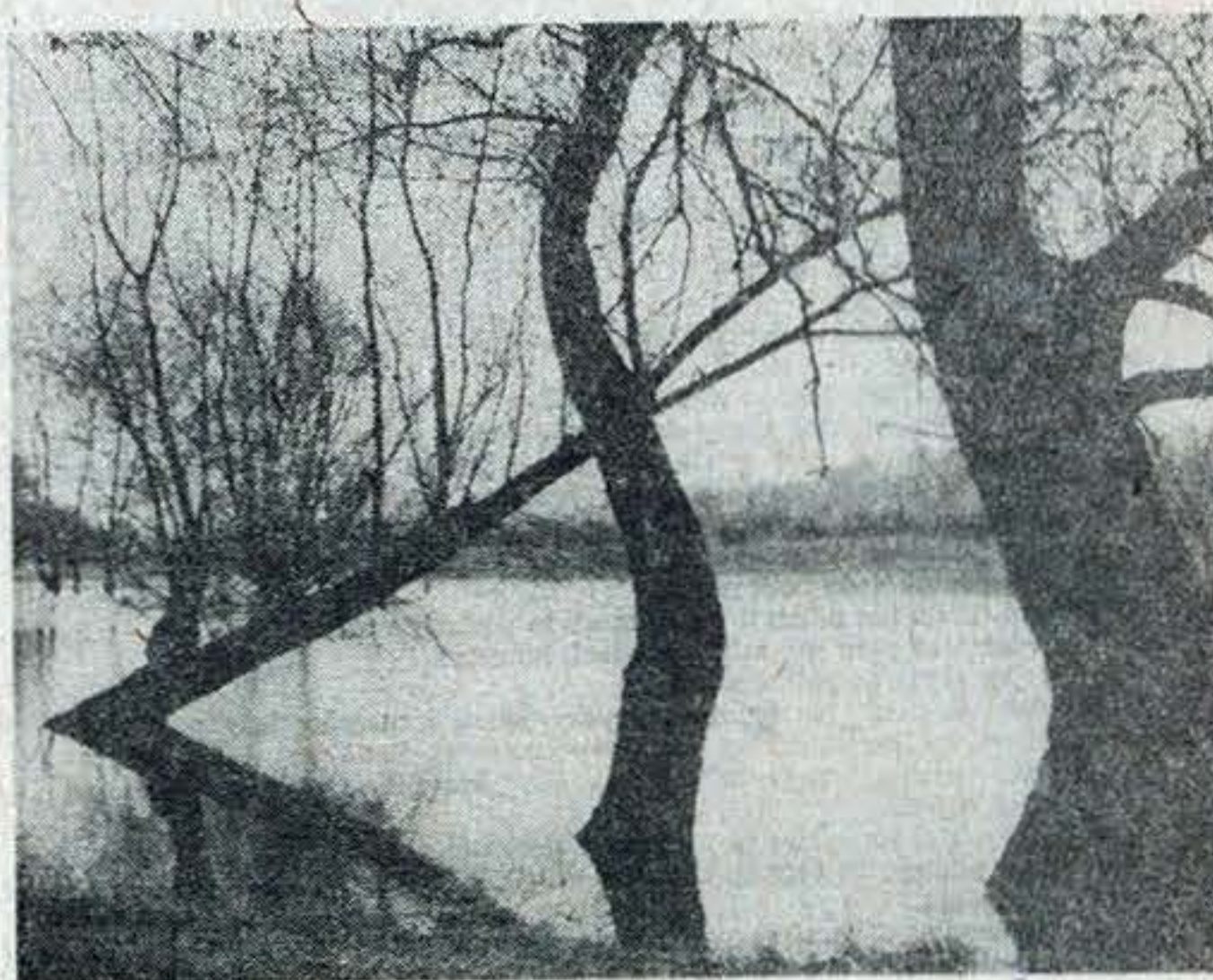
Nie mogłem całkiem zostawić lasu i siedzieć beczynnie. Mieszkam nadal prawie w lesie, mam teraz te leśne sta-wy, a w nich karpie i amury, których pilnuję, karmię i leczę. Jestem przy-niety od wiosny do jesieni, mam tu ta-ką budę w której nocuję, a na wodzie krypte z silnikiem, którą nazywam „Batory”. Za sąsiadów mam kormora-ny i orły bieliki, podglądam ich życie, odkrywam stale nowe tajemnice przy-rody. Przekonuję się wtedy, ile jest w niej bogactwa i siły. Nie mam czasu

na nudy, pilnuje stawów, trochę pracu-ję społecznie, dużo czytam, chodzę z synami na polowania, przekazuję im myśliwskie zwyczaje. Najlepiej czuję się w lesie i on mi się odzwajemnia do brym zdrowiem.

Wiem prawie wszystko o lesie i mo-że dlatego ma on dla mnie jeszcze ty-le tajemnic. Las uczy pokory, innego spojrzenia na nasze sprawy, łagodzi na-turę ludzką. Widać w nim potęgę przy-

rody, której człowiek jest tylko małą cząstką. Śmieszne i małe wydają się wo-bec niej nasze kłopoty, kłótnie i zawści, bo las przetrwa wszystko.

Marian Izydorski, założyciel nadleś-nictwa i do 1981 r. nadleśniczy w Dęb-nie Lubuskim, odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Pol-ski, wpisany jest pod nr 68 w „Księdze zasłużonych leśników PRL”.



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ



## w deszczu

Elżbieta Skorupska

Padał już drugi tydzień. Siąpiło, zawiewało. Szargało resztki zimy. Z uwieszonych nisko chmur leciały wielkie, ciężkie krople, a czasami chmury stały się białe, by po chwili zmienić się w białą burzę.

Płaszcz powoli przemakał, czułam nieprzyjemne, wilgotne, przenikliwe zimno na plecach. Woda kropelkami kapłała mi z włosów.

Idziemy we dwie, brzegiem drogi, bezkarnie czapiąc po długiej kałuży. „Jest fajnie... jest dobrze... chociaż... jest zimno... a ja idę na jakiś wywiad środowiskowy... bzdura... to nie nie da... ludziom jest dobrze we własnym łajnie tarzać się... chęć jego smrodem... robić z siebie męczennika... dziewczęta... jedna izba... byłam tam w zeszłym roku i co to dało... przybyło jedno dziecko... on robi z siebie wariata... to nawet wygodne... w końcu ktoś musi wyżyć to stadko... ktoś musi się tym zająć... wiadomo, najlepszą wycieraczką jest szkoła... nauczyciel musi wszystko... czy chce, czy nie...”

Idziemy we dwie. Ja i kobieta z kuratorium. „Ciekawa jestem jak ona to wytrzyma”.

— Tu skręcamy.

Nie ma już drogi, jest mała gliniasta wyłożona gźdzeniedzie kociami. W wyjeżdżonych dołach kałuże są jeszcze większe, że i przeskoczyć ich nie można.

— To tutaj.

Stojmy przed odrapaną z tynku chałupą. Dach przypomina łysinę z resztkami rudych włosów. Na szczycie sterczy jak memento szczybaty komin. W miejscu, gdzie była najprawdopodobniej brama i solidny płot, świadectwo zamożności dawnych gospodarzy, teraz rosną dobrze zakorzenione już krzaki bzu, dzikiego bzu, przypominającego chropowate, starce palce.

Zza wychechanego rogu chałupy wybiegają trzy psy. Kobieta piszczy. „Czego piszczysz?” — myślę i głośno wybucham:

— A niech to diabli! Nie wejdzmy tam, póki ktoś po nas nie wyjdzie...

— O Jezul! Niech pani coś robi! — Kobieta z kuratorium ulega emocji. „Śmieszna jest teraz... pół godziny temu była taka ważna...”

— Pewnie babko teraz dopiero zaczyna sprzątać...

— A wy tu czego, he? — Zza chałupy wychodzi Przybylska. Ma trzydzieści dwa lata, dziewczęcioro dzieci, męża śmierzającego lenia i dwie lewe ręce do roboty. Wygląda na jakieś czterdzieści pięć-sześć lat. Chuda i brudna dopełnia obrazu obejścia, chlapy, błota i tej rozlającej się chałupy.

— Dzień dobry. — Kobieta z kuratorium sili się mimo wszystko na uśmiech.

— To jest pani wizytator z kuratorium.

— No i co z tego? — przerywa mi agresywnie.

— Chciałybyśmy zobaczyć, w jakich warunkach dzieci mieszkają —

koniecze najspokojniej, jak potrafie.

— A co? To nie wiecie w szkole, jak dzieci mieszkają? Normalnie! Jak mają, tak mieszkają!

— Chcemy dać pani zapomoge pieniężną. — Bronię się jedynym przemawiającym do baby argumentem.

— Aaa? No to niech wejdą. — Przybylska wykonuje gest, który ma oznaczać zezwolenie na wejście.

Zniszczone schody. Wyryzany próg. Drzwi bez klamki. Izba. Brudna, duszna izba. Jedna. Reszta jest zdewastowana. Zimą powycinani na strychu bejki, bo nie mieli czym palić w piecu, chociaż las jest tuż za ich ogrodem.

Na wielkim wyrze nieokreślonego koloru bawi się czworo dzieci, nąguśkich i brudnych: dwóch chłopców, dwie dziewczynki. Dzieciaki, trochę zdziwione, patrzą na nas ze szczerymi uśmiechami na brudnych buźkach.

— Bachory! Ubrać się! — wrzeszczy Przybylska.

— Dlaczego one takie nagie? — pytam, nie kryjąc zdziwienia.

— Aaa! Same porozbierają się, że człowiek nie nadają ubierać. Chodzą, do cholery! — Bierze na ręce najmłodszego, siedzącego dotąd na nocniku.

— Ciagle by tylko na nocniku...

— Proszę, niech siada. Ładna blondyneczka podsuwa nam jedno krzesło.

— „Tej nie znam... ma jakieś sześć — siedem lat... mila... powinna chodzić do szkoły albo do przedszkola...”

Kładę zeszyt na skraju stołu. Dalej leży chleb, masło w żółtym papierze, margaryna, cebula, pergamin z resztkami sera, obok stoją dwa garnuszki z zaznaczonej odciśniętymi palców — chyba wszystkich dzieci. Rozglądam się po tej ni to izbie, ni to przechowalni. Nieznacznie obserwuję kobietę z kuratorium: jest blada, widac, że duszne powietrze, zapach potu, schnącego moczu, suchej cebuli, gotujących się kości, wyraźnie jej nie służy.

— Jeszcze brakuje, żeby mi tu zemdlala!”

Okno, okienko, okieneczko — mdłe światło syczy się przez szyby, urozmaicone jak witrażami, kawałkami kartonu. Przy ścianie stoją dwa małe łóżeczka, kiedyś chyba białe — teraz brudne, jak wszystko w tej izbie. Nad nimi na ścianie wiszą dwa obrazy. Chrystus z brudnej szyby spogląda smutno... Matka Boska uśmiecha się kojąco. Widac zarys pięknych dloni.

Kobieta z kuratorium wychodzi.

Piszę notatkę. Przez ręce zaglądamy ją dzieciaki, częściowo już poubierane.

— Pani Przybylska, dlaczego dzieci nie chodzą do szkoły?

— A bo chorują, na nerki chorują.

— Jak mają nie chorować? Takie bieganie nago po mieszkaniu wykańcza im nerki, i płuca...

— A co mam robić? — zacietrzewia się baba.

— Ma pani przecież przydział na mieszkanie, kwaterek, w miasteczku...

— Ja tam nigdzie nie pójdę!

— Tam ma pani trzy pokoje, kuchnię. Wyposaża wam to wszystko, żeby było na początku 1944...

— A gówno tam! Ja tam nie pójdę, i tyle, o! — Przybylska siada na brzegu barłogu, jakby potwierdzając tym swoje mocne postanowienie.

— No chyba gorzej niż tutaj, to już nigdzie nie będzie wam...

— Jak iść gdzie, do porządnego, a nie takie tam: bez łazienki, na pierwszym piętrze, bez centralnego! A kto będzie w piecach palić?

— „Babo — mam ochotę wrzasnąć — tam przynajmniej przez tydzień dzieci pomieszka jak ludzie...”

— Kobieta! — Nie wytrzymuję. — Tam dzieci przynajmniej obiady dostaną, ciepło będą miały...

— No! Ja tam w piecach palić nie będę!

— A mąż?

— Mąż jest chory...

— A dzisiaj gdzie jest?

— Na ryby poszedł, może co złapie, to się dzieciaki zajmą...

— Przecież chory...

— A co mam dzieciakom w gęby włożyć? — Zaperzyła się po swojemu, jak jeź, któremu ktoś niespodziewanie chciał zajrzeć w oczy.

„Ona chyba znowu jest w ciąży... Boże, jak tu duszno... chyba mnie mdli... dobrze, że dzisiaj nie jescze nie jadłam... warunki życia złe... brudno... dzieci zaniedbane... podpis osoby spisujące... podpis rodziców...”

— Proszę podpisać. Przeczytać i podpisać. — Poprawiam się. Podsuwam Przybylskiej protokół do podpisania.

— Ja tam dzieci nie oddam! Po co mam to podpisywać?!

— Przecież nikt pani nie zabiera dzieci, kobieto!

Przybylska czyta powoli, dokładnie.

Spoglądam w bok. Na brudnej przytuli jeden z malców leży przykryty podręcznikiem języka polskiego dla klasy czwartej. Spod wytartej na brzegach okładki sterczą chude kolanka a znad książki spoglądają na mnie brązowe oczy dziecka.

Przybylska, zła, zamaszycie podpisuje protokół.

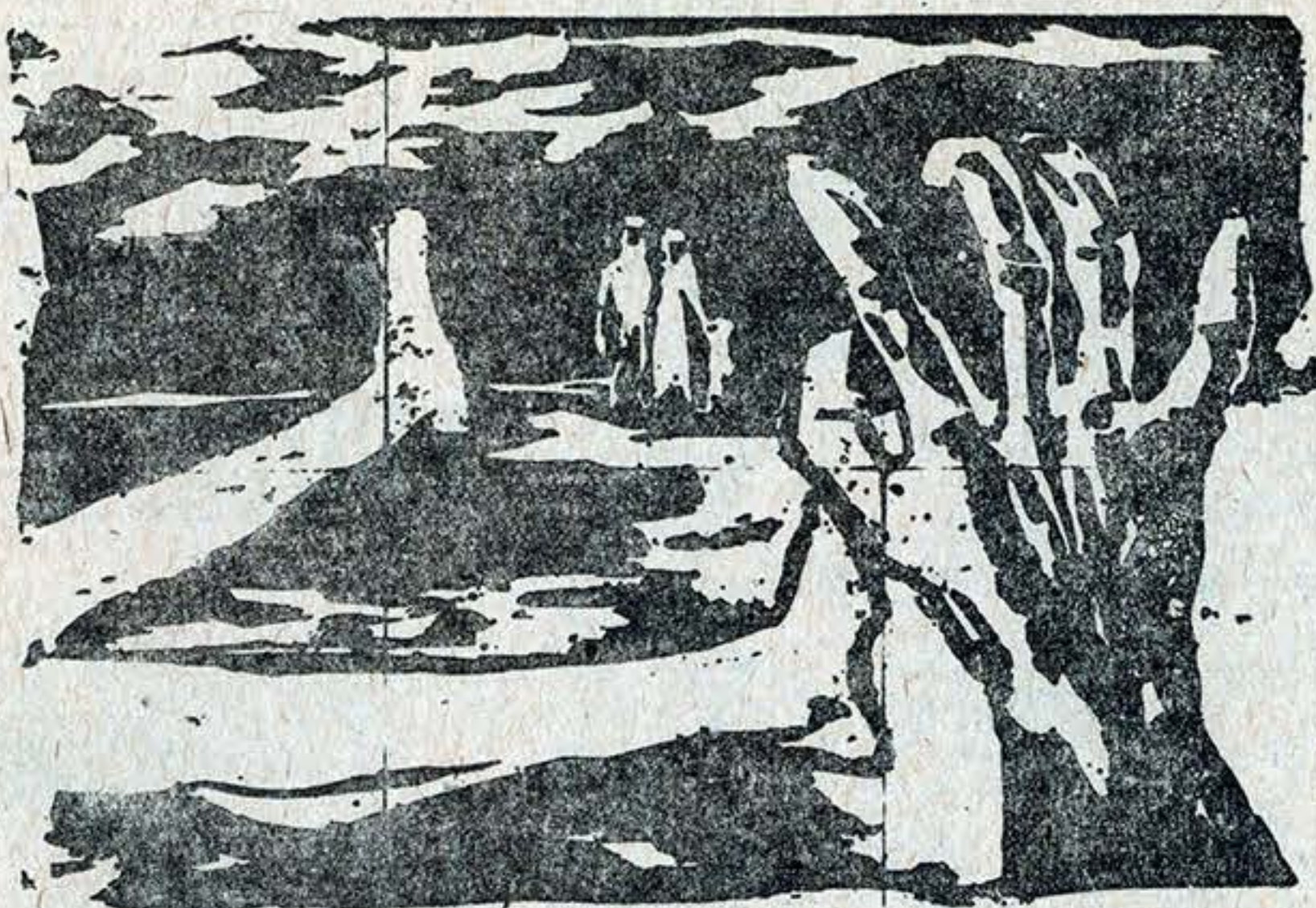
Zamykam papierową teczkę, chowam długopis, wstaję.

— Do widzenia.

— Do widzenia — mruczy pod nosem baba, wycierając ręce w fartuch.

Spójrzałam jeszcze raz do tyłu, na ścianie, gdzie wisiały obrazy schowane za brudnymi szybami. Na jednym Matka Boska uśmiecha się swym cudownym uśmiechem. Na drugim Chrystus błogosławi...

Padał już drugi tydzień.



Grafika Kłema Felchnerowskiego z cyklu „Warszawskie getto” (1951 r.)

Ciąg dalszy ze str. 1

około 12 tys. Żydów. Obozy te były zlokalizowane m.in. w miejscowościach: Rogoziniec, Brójce, Boczów, Pniów, Rzepin, Torzym, Świebodzin, Jordano-w, Lubrza, Łagów, Połzradło, Topo-rów, Żelechów.

W początkowym okresie robotnicy żydowskie obozów podległych RAB otrzymywali pewne minimalne zryczałtowane wynagrodzenie, które nie przekraczało 30 fenigów na godzinę. Po potrąceniu kosztów za wyżywienie, zakwaterowanie oraz wpłaty na Getto-Verwaltung mieli oni otrzymywać tzw. kieszonko-

## Holocaust nad Odrą

we, którego jednak najczęściej nie wypłacano. W zasadzie 80 proc. zarobków za morderczą pracę wpływało na rachunek Getto-Verwaltung a zyski z darmowej eksploatacji żydowskiej siły roboczej zasilały konta prywatnych firm. W 1942 roku ostatecznie zerwano z fikcją wynagradzania za pracę. Pracodawcy zobowiązani zostali jedynie do wpłacania na rzecz Getto-Verwaltung tzw. Judenleihgebühr, czyli zryczałtowanej opłaty za każdego „wypożyczonego” Żyda.

Zapotrzebowanie na robotników było powodem powstawania wielu obozów pracy przy różnych zakładach, w których osadzano również robotników żydowskich. Obozy takie powstały przy fabryce nici Gruschwitz w Nowej Soli, fabryce dynamitu Spółki Akcyjnej Alfred Nobel w Krzyżkowicach, zakładach tekstylnych G. Hoffmanna w Zaganiu, węzle kolejowym w Zbąszynku i wielu innych specjalnych obozach pracy Zwangsarbeitslager, w skrócie określane jako ZALFJ. Położenie żydowskich robotników przymusowych w tych obozach było wyjątkowo ciężkie. Skazani z góry na wyniszczenie mieli oni, póki starczyło sił, pracować na rzecz niemieckiej gospodarki. Specyficzną cechą tego typu obozów pracy była ich ścisła izolacja od świata zewnętrznego i co za tym idzie — surowe, nieludzkie wprost warunki bytowania. Z obozów tych nie było powrotu a na skutek morderczej pracy, straszliwego głodu, braku ciepłych ubrań, nieogrzewanych baraków, braku pomocy lekarskiej i okrucieństw hitlerowskiej załogi, liczba Żydów w obozach szybko topniała.

Znęcanie się i mordowanie fizycznie wyniszczonych robotników żydowskich było na porządku dziennym. Prowadzone śledztwa i prace badawcze przez OKBZH w Zielonej Górze ujawniły tylko niewielki procent dokonanych zbrodni, które były na porządku dziennym w każdym z obozów żydowskich. W 1941 roku strażnicy obozu w Lubrzy zastrzelili pięciu więźniów, w Zbąszynku 9 lipca 1942 roku powieszono pięciu młodych robotników żydowskich, w tym 13-letniego chłopca z obozu pracy podległego Deutsche Reichsbahn. Za podnie śnienie leżące na drodze kromki chleba lub niedopałonego papierosa groziła śmierć. Za tego rodzaju „przestępstwo” w dniu 17 kwietnia 1943 roku zginęli Mordka Berlinski i Dawid Eckstein z obozu w Zbąszynku. W Kostrzynie nad Odrą w dniu 25 lipca 1942 roku zastrzelono dziewięciu więźniów.

Jeden z nielicznych świadków, któremu udało się przeżyć oboz pracy przymusowej w Kostrzynie, złożył następujące zeznanie: „W lipcu 1941 roku jako Żyd zostałem uwięziony w obozie pracy przymusowej koło Nowego Tomysła. Następnie przewieziono mnie do Kostrzyny nad Odrą. Pracowałem w fabryce celulozowej. Do pracy prowadzono nas pod strażą. W obozie w ogóle nie dawano nam jedzenia. W fabryce otrzymywaliśmy na śniadanie około 2 kg chleba na osiem osób oraz czarną gorzką kawę. Na obiad dawano nam zupę z buraków i marchwi białej — pastewnej. W obozie przebywało nas około

500 Żydów. Śmiertelność była duża, z głodu i bicia. Zmarłych grzebano poza obozem. Chowano bez trumien, bez ubrań — nago. Żydzi w fabryce pracowali przy najcięższych pracach. Podczas pracy podlegaliśmy Niemcom o nazwisku Lawal, który chodził w cywilnym ubraniu. Lawal znęcał się nad nami. Codziennie, przeciętnie zabijał on około pięciu Żydów. Zabijał przez kopanie w narządy płciowe, a gdy ktoś od kopania nie umierał, dobijał drewnianą pałką. Drugim Niemcem, który również bił i zabijał Żydów, był strażnik o nazwisku Otto Niklas. W obozie przy fabryce celulozowej w Kostrzynie byłem do października 1943 roku. Następnie wszyscy stąd Żydów wyprowadzono do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu”.

Ravensbrück 48 niemieckich pracowników, przeważnie członkin BDM, celem przeszkolenia tam, odpowiedniego orzeszkowania w charakterze strażniczek (Aufseherkin).

Po powrocie z przeszkolenia strażniczek nastąpiło formalne przekazanie obozu żydowskiego władzom obozu koncentracyjnego Gross Rosen. Od tej chwili oboz żydowski w Zielonej Górze stanowił jego filię stojącą się „Aussenkommando”. W lipcu 1944 roku, przy ogólnym stanie 794 pracowników niemieckich zatrudnionych w zakładzie, liczba więźniarków wynosiła 923 osoby i pod koniec roku wzrosła do 971. Z chwilą przejścia obozu przez SS warunki bytowania kobiet znacznie się pogorszyły. Pracowano w systemie dwumianowym po 12-14 godzin dziennie. Na skutek niedożywienia, ciężkiej pracy, braku podstawowych warunków sanitarnych i opieki lekarskiej wśród więźniarek szerzyły się różne choroby i infekcje. Chore i niezdolne do pracy kobiety wysyłano do obozu macierzystego celem likwidacji.

Oboz pracy przymusowej dla Żydów oraz filie obozów koncentracyjnych zorganizowanych przez hitlerowców na Środkowym Nadodrzu w latach II wojny światowej nie były jedynymi miejscami, gdzie katowano i mordowano bezbronną ludność żydowską. Terror i biologiczne niszczenie Żydów miało również miejsce w policyjnych więzieniach oraz „wychowawczych obozach pracy (Arbeitsziehungslager), powstałych tu z inicjatywy reżymu placówki gestapo we Frankfurcie nad Odrą. Zlokalizowano je w Świecku i Brójcach.

Oboz w Brójcach należał do miejsc o szczególnym rygorze. Dokonano w nim wielu mordów na więźniach żydowskich. Świadek Edmund Banaszak zeznał: „...w okresie mego pobytu w obozie był również ze mną 20-letni Żyd, z zawodu krawiec. Ponadto także znajdował się młody chłopiec żydowski w wieku 10-12 lat, który został przez Hauptscharführera SS Krafta śmiertelnie postrzelony i leżał w agonii. Wkrótce chłopiec ten zmarł. Po pewnym czasie przywieziono do obozu dalszych trzech młodych Żydów. Jeden z nich podczas pracy miał rzekomo próbować ucieczki. Ucieczka się nie powiodła. Do obozu przyprawiano całe komando, w którym pracowali uciekinierzy i pozostali Żydzi. Żydom kazano wzajemnie objąć się kłami. Na drugi dzień po tym zdarzeniu, Kraft wyprowadził wspomnianego już krawca i trzech pozostałych Żydów z komanda roboczego poza oboz. Wkrótce z kierunku, w którym udał się Kraft z więźniami, słychać było strzały. Do obozu Kraft wrócił sam polecając więźniom funkcyjnym przywieźć wozem zabitych Żydów. Widziałem na wozie pomordowanych. Wieczorem na apelu ogłoszono, że Żydów tych zastrzelono podczas ucieczki”.

Obraz hitlerowskich zbrodni na narodzie żydowskim uzupełnia fakt gazowania chorych Żydów w szpitalu przy obozie pracy w Rzepinie. Jak wykazało prowadzone śledztwo, było to celowe działanie na masową skalę, bynajmniej nie odosobnione. Gdy w maju 1943 roku padły ostatnie reduity powstańcze warszawskiego getta i dopały się zgłiszcza dzielnicy żydowskiej hitlerowcy mieli już gotową koncepcję „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” również na Środkowym Nadodrzu. Holocaust, który miał tu miejsce, składa się na całą prawdę o martyrologii i eksterminacji narodu żydowskiego w okresie II wojny światowej.

PRZEMYSŁAW MNICHOWSKI  
ANDRZEJ TOCZEŃSKI



## Sceny miłosne w literaturze pięknej

Wygłąda, jaka jest pogoda i wdycha ciężko. Jeżeli pada, mówi: — Niech diabli wezmą ten pier... klimat, można się rozchorować. — A jeśli słońce jasno świeci, mówi: — Niech diabli wezmą to pier... słońce, można oślepnąć! — Zaczyna się golić i nagle spostrzega, że nie ma czystego ręcznika. — Niech diabli wezmą ten pier... hotel, takie tu skąpstwo, że nawet czystego ręcznika żalują! — Wszystko jedno co robi i dokąd idzie — nie mu się nie podobą. Albo ten pier... kraj, albo pier... praca, albo wreszcie jakas pier... dupa, z którą mu nie wyszło.

— Mam zupełnie zepsute zęby — mówi płucząc gardło. — To przez ten pier... chleb, który tu dają do jedzenia. — Otwiera szeroko usta i odciska dołną wargę. — Widzisz? Wczoraj wyrwałem sześć zębów. Wkrótce będę sobie musiał sprawić nową szeregę. Tego można się dorobić pracując na życie. Kiedy się objawiał, miałem wszystkie zęby, a oczy jasne i czyste. Spójrz na mnie teraz! To cud, że mogę jeszcze zerznąć dupę. Jezu, jak ja bym chciał trafić jakąś bogatą dupę, jak ten ewany ch... Carl. Mówi ci o tych listach, które ona do niego wysyła? Wiesz, co to za jedna? Nie chciał mi powiedzieć jej nazwiska, ten skurwysyn... boi się, że mógłbym mu ją odebrać. — Znowu płucze gardło, a potem długo ogląda sobie dziury w zębach. — Tobie to dobrze — mówi z wyrzutem. — Masz przynajmniej przyjaciół. Ja nie mam nikogo, prócz tego ewanego ch..., który mi wciska kit o swej bogatej dupie.

— Słuchaj — powiada — znasz może dupę imieniem Norma? Cały dzień lazi koło Dome. Ona jest jakaś dziwna. Była tu wczoraj, trochę ja pomógł. Nic mi nie dała zrobić. Miałem ją na łóżku. Nawet zdjąłem jej majtki... a potem ogarnął mnie taki niesmak. Jezu, nie mogę się już tak szarpać. To się nie oplaca. Albo chce, albo nie — szkoda czasu na mocowanie się. Złowię się tu szarpie z taką suką jak ta, a n... terasse co najmniej tuzin dup kona z pragnieniem, żeby je wyruchać. Fakt. Wszystkie się tu zlatują, żeby je przelecieć. Uważają, że tu jest grzeszenie... niewinątko! Niektóre nauczycielki z zachodu to uczciwe dziewice... poważnie! Siedzą na tyłkach i przez cały dzień tylko o tym myślą. Z nimi nie musisz się przemęczać. Aż piszę o tego. Miałem wczoraj meżatkę, która od sześciu miesięcy nie spała z chłopem. Możesz to sobie wyobrazić? Jezu, ale jej się śpieszyło! Myślałem, że mi wyrwie ptaka. I cały czas jęczała: „A ty? A ty?”. Przez cały czas to powtarzała jak jakaś głupia. I wiesz, co ta suka chciała zrobić? Chciała się tu wprowadzić. Pomyśl tylko! Pyta mnie, czy ją kocham. Nawet nie znam jej imienia. Nigdy nie znam ich imion... I nie chcę znać. Te meżatki! Chryste, gdybyś zobaczył te wszystkie zameżne dupy, które tu przychodzą, a pozbyłbyś się złudzeń. Te meżatki są nawet gorsze niż dz. wice. Nie dadzą ci zacząć, same wszystko chcą robić za ciebie. A potem gadają o miłości. To niesmaczne. Mówię ci, teraz zaczynam nienawidzić dup!

Znowu patrzy przez okno. Mżawka. Mży już tak od pięciu dni.

— Idziemy do Dome, Joe? — Mówię na niego Joe, bo on na mnie mówi Joe. Kiedy jest Carl, to też jest Joe. Każdy jest Joe, bo tak jest łatwiej. To takie miłe przypomnienie, żeby nie brać siebie zbyt serio. Tak czy owak. Joe nie chce iść do Dome — zbyt wiele forsy jest tam winien. Chce iść do Coupoles. A najpierw trochę się przebrać.

— Przecież pada, Joe.

— Wiesz, do cholery! Muszę się przebrać dla zdrowia. Muszę wypłukać to świństwo z kieszek. — Kiedy tak mówi, odnosi wrazenie, że cały świat zwinął się w jego brzuchu i tam gnije.

Przy ubieraniu się popada w stan półśpiączki. Stoi z jedną ręką w rękawie marynarki, w kapeluszu włożonym tył na przód i zaczyna głośno marzyć o Riw'rze, o słońcu, o leniuchowaniu. — Nie więcej nie chcę od życia — mówi — tylko kilka książek, trochę marzeń i kilka dup. — K'edy tak cedi z namysłem, patrzy na mnie z najlagodniejszym, najbardziej uwodzicielskim uśmiechem. — Podobają ci się ten uśmiech? — pyta. A potem z niesmakiem: — Jezu, żeby tylko znalazł jakąś bogatą dupę, do której mógłbym się tak uśmiechać!

Tylko bogata dupa może mnie teraz uratować — mówi ze skrajnym znużeniem. — Człowiek już jest zmęczony tym wiecznym ugania-aniem się za coraz to nowymi dupami. To się robi mechaniczne. Całe nieszczęście, widzisz, że nie mogę się zakochać. Za bardzo jestem egoista. Kobiety mi tylko pomagają marzyć, to wszystko. To, nałóg, jak picie albo opium. Muszę codziennie mieć nową, bo jeżeli nie mam, to choruję. Za dużo myślę. Czasem, aż jestem zły na siebie, że tak przedko go wyciągam — i że tak mało to znaczy. Robię to jak automat. Czasem w ogóle nie myślę o kobietach i raptem czuję, że jakaś pa-tryza na mnie i od razu traci! Wszystko się zaczyna od nowa. Zanim pomyślę, co robię, już jest w moim pokoju. Nie pamiętam nawet, co do nich mówię. Biorę te do pokoju, daję klapa po dupie i zanim pomyślę, już jest po wszystkim. Jak we śnie... Rozumiesz, o co mi chodzi?

Francuskie dziewczyny nie pasują mu. Nie znosi ich. — Albo chce pieniędzy, albo żeby się z nią ożenić. A w gruncie rzeczy to wszystko k... Wolę już się gimnastykować z dziewczką — mówi. — Przynajmniej dają ci jakieś złudzenie. Pozorują walkę. Mimo to, jeśli się rozejrzeć po terasse, prawie nie ma takiej k... w zasięgu wzroku, której by kiedyś nie p... Stojąc przy barze, wskazuje mi jedną po drugiej, omawia ich anatomicznie, podkreśla słabe i mocne punkty. — Wszystkie są zimne — mówi. A potem zaczyna roz-cierać ręce, myśląc o miłych soczystych dziewczkach, które wprost konają, żeby je przelecieć.

W środku tych pogaduszek nagle milknie i chwytając mnie z podnieceniem za ramię, wskazuje babę jak wieloryb, właśnie s'adającą na stołku. To moja duńska dupa — mruczy. — Wiesz, jaki tyłek? Duńska k... Jak ona to lubi. Po prostu zerbie o to. Przejdź tutaj... popatrz teraz z boku. Spójrz na jej tyłek, widzisz? Ołbrzym. Mówię ci nadzwyczajny! A te faldki! Takiego tyłka się nie zapomina. Fakt... n'ebity fakt. Te inne albo cię nudzą, albo dają chwilowe złudzenie, ale ta — z takim tyłkiem! — jak rany, to się nie zaciara. To jak jakby pójść do łóżka z pomnikiem.

Duńska dupa zdaje się go elektryzować. Znika cała jego ospałość. Oczy wyskakują mu z orbit. I oczywiście jedna rzecz przypomina mu drugą. Chce się wynieść z tego pier... hotelu, bo meczy go hałas. Chce napisać książkę, żeby mieć czym zająć myśl. Ale tu stoi n... przeszkodziła ta cholerna praca. — Wszystko z człowieka wysysa ten pier... praca! Nie chcę pisać o Montparnasse... chcę pisać o swoim życiu, o myślach. Chcę wypłukać to świństwo z kieszek... Słuchaj, zobacz na tamtą! Miałem ją kiedyś dawno. Kręciła się koło hał. Śmieszna dziwa. Kładzie się na samym brzegu łóżka i podciąga do góry ubranie. Próbowaleś tak kiedyś? Polecam. Przynajmniej mnie nie poganiała. Po prostu leżała na wznak i bawiła się swoim kapeluszem, kiedy ja grzmociłem. A kiedy skończyłem, zapytała ze znużeniem: — „Już?”. Jakby to jej w ogóle n'e robiło różnicy. Oczywiście, że to jej nie robi różnicy, wiem to, cholera aż za dobrze... ale to jej opanowanie... nawet mi się to podobało... fascynujące, wiesz? Kiedy poszła się umyć, zaczęła śpiewać. I śpiewała jeszcze wychodząc z hotelu. Nawet nie powiedziałem: „Au revoir!”. Wysła machając kapeluszem i podśpiewując. To jest kurwa w sam raz dla ciebie! Dobra w łóżku. Chyba ją wolę od mojej dziewczyny. Jest coś z nieprawości w ciupaniu kobiety, którą to gównu obchodzi. Rozgrzewa ci krew... — A potem, po chwili zastanowienia: — Możesz sobie wyobrazić, jaka by była, gdyby miała jakieś uczucia?

## ZWROTNIK RAKA

Henry Miller



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

— Słuchaj — mówi — chcę, żebyś poszedł ze mną do klubu jutro po południu... będzie można potańczyć.

— Jutro nie mogę, Joe, obiecałem pomóc Carlowi...

— Słuchaj, daj sobie spokój z tym ch...! Proszę cię o przysługę. Chodzi o to, że... — znowu zaciera ręce. — Mam umówioną dupę... obiecała, że zostanie u mnie na noc, kiedy będę miał wolne. Ale nie jestem jeszcze zdecydowany. Ona m... matkę, rozumiesz... jakąś zafajdaną malarke, ciągle o niej gada, kiedy się w'dzimy. Podejrzewam, że matka jest zazdrosna. Chyba nie miałaby nic przeciwko temu, żebyś się najpierw z nią przepisał. Wiesz, jak to jest... No więc, pomyślałem, że może zechciałaby wziąć te rękawki... nie jest taka zła... gdyby nie widział córki, może sam bym się na nią zdecydował. Ta córka jest miła i młoda, taka świeża, wiesz, co mam na myśli? Aż pachnie od niej czystością...

— Słuchaj, Joe znajdź sobie lepiej kogoś innego...

— No, nie bierz tego w ten sposób. Doskonale cię rozumiem. Proszę cię o zwykłą małą przysługę. Nie wiem, jak się pozbyć tej starej kwoiki. Najpierw myślałem, żeby się upić i ją podłubać — ale nie wiem, czy to by się podobowało tej młodej. Ona jest taka więcej sentymentalna. Pochodzi z Minnesoty czy skądś tam. W każdym razie wstąpił do mnie jutro i obudzi, dobrze? Bo zaśpię. A poza tym musisz mi znaleźć pokój. Wiesz, że sam nie potrafię. Znajdź mi pokój przy jakiejś cichej ulicy, gdzieś w pobliżu. Bo muszę w tej okolicy zostać. Mam tu kredyt. Przyrzeknij, że zrobisz to dla mnie. Postawię ci parę obiadów. W każdym razie przyjdź koniecznie, bo rzucił mi się chce od gadania z tymi głupimi dupami. Chce z tobą pogadać o Hovelocku Ellisie. Jezu, od trzech tygodni mam kłótnię i jeszcze do niej nie zjadłem. Człowiek tu gnije. Uwierzyć, że nigdy nie byłem w Luvrze... ani w Comedie-Française. Warto zająć się tym smutnym? Zawsze to jakiś zły wrażeń, tak przynajmniej gdzieś. Co te właściwie robisz po całych dniach? Nie nudzi ci się? A z kim sympiasz? Słuchaj... chodź tutaj! Nie uciekaj jeszcze... jestem tak samotny. Wiesz, co ci powiem: jeśli to potrwa jeszcze jeden rok, po prostu zwariuję. Muszę się wydostać z tego pier... kraju. Nie tu po mnie. Wiesz, że teraz i w Ameryce jest wesoło, nie mniej jednak... Tu można całkiem zgłupieć... całe to ba-

raczko siedzi na dupie i od rana do wieczora prze-chwala się swoją pracą, a żaden z nich nie wart złamanego żelaza. To wszystko nieudaczniki, dlatego tu przyjechali. Słuchaj, Joe, a ty nigdy n'e tesknisz za domem? Dziwny z ciebie gość... tobie się tu chyba podoba. Co ty tu widzisz?... mógłbyś mi powiedzieć. Chciałbym, o Chryste, móc przestać myśleć o sobie. Wewnątrz jestem cały pokrecony... Jakbym miał supel w środku... Słuchaj, wiem, że to dla ciebie zasrane nużiarstwo, ale muszę się przed kims wygadać. Z tymi z góry nie mogę... sam wiesz, jakie to skurwysyny... żyją tylko z wierszówki. A Carl, ten mały kutas, jest tak cholernie samotny. Ja jestem egoistą, ale nie samolubem. A to różnica. Jestem chyba neurotykiem. Nie mogę przestać myśleć o sobie. Nie dlatego, żebym się miał za takiego ważniaka... Po prostu nie potrafię myśleć o niczym innym, i tyle. Gdybym się zakochał, może by mi to pomogło. Ale nie mogę znaleźć kobiety, którą bym mniej zainteresował. W'dzisz, jak zabrnąłem, sam widzisz. Co byś mi radził zrobić? Co byś zrobił na moim miejscu? Słuchaj, nie chcę cię dłużej zatrzymywać, ale obudź mnie jut-

ro, ale to przekracza moje siły. Jej listy są o wiele lepsze niż nasze, są szczere, proste. A teraz się wreszcie poznali. Ciekaw jestem, czy on nadal robi w portki.

Dzwoni telefon. Głos Carla brzmi dziwnie, piskliwie, jakby się jednocześnie bał i cieszył. Prosi, żeby go zastąpił w redakcji.

— Powiedz temu draniowi cokolwiek! Powiedz mu, że umieram...

— Słuchaj, Carl... czy możesz mi powiedzieć...?

— Halo! Czy to Henry Miller? — kobiecy głos. To Irene. Pozdrawia mnie. Przez telefon ma piękny głos... piękny. Na moment ogarnia mnie panika. Nie wiem, co powiedzieć. Chciałbym jej powiedzieć: „Wiesz, Irene, myślę, że jesteś piękna... Myślę, że jesteś cudowna”. Chciałbym jej powie-dzieć coś prawdziwego, choćby to miało głupio zabrzmieć, bo teraz, kiedy usłyszałem jej głos, wszystko się zmieniło. Ale zanim zdolałem zebrać myśli, Carl znowu jest przy telefonie i mówi tym dziwnym, piskliwym głosem: — Polubiła cię, Joe. Opowiedziałem jej wszystko o tobie...

W redakcji robią korektę dla Van Norden. W czasie przerwy odciąża mnie na bok. Jest ponury zły.

— To co, ten mały ch... umiera? Słuchaj, co to za tajemnica?

— Podejrzewam, że poszedł się zobaczyć ze swoją bogatą dupą — odpowiadam spokojnie.

— Co! Poważnie, poszedł do niej? — Jest wstrząśnięty. — Słuchaj, gdzie ona m'eszka? Jak się nazywa? — Udać, że nie wiem. — Słuchaj — powiada — ty jesteś porządnym facetem. Dlatego, u diabła i mnie nie dopuścicie do tej imprezy?

Chcę go ugłaskać, obiecuję w końcu, że wszystko mu powiem, jak tylko dowiem się szczegó-łów od Carla. Sam ledwie się mogę doczekać.

Nazajutrz koło południa stukam do drzwi Car-la. Wstał już i mydlił sobie brodę. Z wyrazu je-go twarzy nie mogę n'e odgadnąć. Nie mogę na-wet odgadnąć, czy zechce mi powiedzieć prawdę. Słońce wlewa się przez otwarte okno, ptaki ćwierkają, a jednak, nie wiem właściwie dlaczego, pokój wydaje się jeszcze bardziej pusty i ubogi niż zwykle. Podłoga zachlapana mydlaną pianą, na wieszaku to same dwa brudne ręczniki, nie zmieniane od wieków. Carl też wygląda tak, jak zawsze i to dziwi mnie bardziej n'z wszystko inne. Tego poranka cały świat powinien się od-mienić na dobre czy na złe, ale odmiennie i to radykalnie. A mimo to Carl stoi mydlając sobie twarz i ani jeden szczegół nie uległ zmianie.

— Siadaj... siadaj tu na łóżku — mówi. — Wszy-stko ci powiem... ale najpierw zaczekaj... zache-kaj... trochę — Ponownie mydli sobie twarz, a potem ostrzy brzytwę. Nawet mówi coś o wa-dzie... że znowu nie ma ciepłej.

— Słuchaj, Carl, siedzę jak na rozżarzonych węglach. Potem możesz się nade mną zniecać, jeśli chcesz, ale teraz powiedz mi, powiedz mi tylko jedno... dobrze poszło czy źle?

Odwracając się od lustra z pędzlem w dłoni i obdarza mnie dzwinnym uśmiechem. — Czekaj! Zaraz ci wszystko opowiem...

— To znaczy, że pudło.

— Nie — powiada cedząc słowa. — Nie żadne pudło, ale nie sukces... Ale zaraz, załatwiłeś w redakcji? Co 'm powiedziałeś?

Widzę, że nie z niego nie wyciągnę. Jak będzie gotów, sam m' opowie. Nie wcześniej. Kładę się na łóżku i milczę jak ostryga. On goli się dalej.

Nagle ni stąd, ni zowąd zaczyna mówić — naj-pierw chaotycznie, ale potem coraz bardziej jas-no, dobitnie, śmiało. Walczy z sobą, ale wydaje się zdecydowany powiedzieć wszystko: zachowuje się tak, jakby chciał oczyścić sumienie. Pa-mięta nawet to spojrzenie, jakie mi posłał wcho-dząc do windy. Rozwodzi się nad tym rozwlekle, jakby dając do zrozumienia, że wszystko się roz-strzygnęło w ostatniej chwili, że gdyby mógł coś zmienić, to nigdy by z tej windy nie wysiadł.

Kiedy wszedł, była w peniarzu. Na toalecie stało wiaderko z lodem do szampana. Pokój był dość ciemny, a jej głos piękny. Podaje mi dokładny opis pokoju, szampana, jak go garcon otwie-rał, jak strzelił korek, jak szleścił jej penluar, kiedy podeszła, aby się przytulić — opowiada mi wszystko, tylko nie to na co czekam.

Przyszedł do niej koło ósmej. O ósmej trzy-dzieści zaczął się denerwować myśląc o pracy. — Gdzieś koło dziewiątej do ciebie zadzwoniłem, prawda?

— Tak coś koło tego.

— Denerwowałem się, wiesz...

— Wiesz. Mów dalej...

Nie wiem, czy mu wierzyć, czy nie, zwłaszcza po tych listach, które wymienialiśmy. Nie wiem nawet, czy dobrze go wysłuchałem, ponieważ to, co mi opowiada, brzmi zgola niewiarygodnie. Ale zarazem brzmi prawdziwie, biorąc pod uwagę, jaki to typ człowieka. I przypominam sobie jego głos przez telefon, tę dziwną mieszaninę strachu i rozradowania. Ale dlaczego teraz się już nie raduje? Uśmiecha się przez cały czas, uśmiecha się jak mała różowa pluskwa, która się opila krwi — Była dziewięć godzin — powtarza jesz-cze raz — kiedy do ciebie zadzwoniłem, prawda? — Kiwną głową ze znużeniem. Tak, była 'zie-wiąta godzina. Jest teraz pewien, że to była dzie-wiąta, bo pamięta, jak wyjął zegarek. W każdym razie, kiedy wyjął go ponownie, była już dzie-siąta. O dziesiątej leżała na kanapie, trzymając w dłoniach swoje cycki. Tak mi to wszystko po-dawał — kawałkami. O jedenastej wszystko zo-stało ustalone: uciekną na Borneo. Pies jebał me-żę! Ona i tak nigdy go nie kochała. Nigdy by nie napisała swego pierwszego listu, gdyby mąż nie był stary i oziebły. — A potem mnie pyta: „Tył-ko kochany, skąd wiesz, że się mną nie znu-dziś?”

Wybucham śmiechem. Brzmie to idiotycznie nie na to nie poradzę.

— I co powiedziałeś?

— A co miałem powiedzieć? Powiedziałem: „Czy ktoś mógłby się z tobą znuzić?”

(CDN)

(Fragmenty prozy Henry Millera pochodzą z mie-sięcznika „Literatura na świecie”, nr 5-6 z ub.r. Przekład: Zofia i Lucjan Forembecy)





## Pierwszy Pancerny

Pod takim tytułem Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy w Zielonej Górze wydał wspomnieniową książkę Michała Wasilewskiego, pod redakcją niezapomnianego wydawcy i zasłużonego działacza kulturalno-społecznego, niedawno zmarłego dr Mariana Skarbka. Publikacja ta jest jedną z ostatnich prac redakcyjnych (i organizacyjnych), jakie wykonał Marian Skarbek, sam także kombatant i popularyzator wiedzy o czasach ostatniej wojny.

Książka ma wszelkie znamiona autentyczności. Jej autor, były żołnierz 1 Korpusu Pancernego, opisuje szlak bojowy swojej jednostki, wcześniej przypominając jej historię. Pierwsze oddziały Korpusu Pancernego formowały się na ziemi radzieckiej, w Berdyczowie, następnie — już w lasach chełmskich, na wyzwolonej polskiej ziemi. Szlak bojowy Korpusu, zamknięty datami od 16 kwietnia do 10 maja 1945 roku, obejmował operacje: lużycko-drezeńską oraz praską. Korpus zakończył swój udział w wojnie na ziemi czechosłowackiej, w Mielniku.

Jak słusznie podkreśla w przedmowie Wydawca — „Książka ta napisana piórem b. żołnierza, nie pretenduje do miana dzieła literackiego, ani historycznego. Jest wyrazem głębokiego szacunku i wdzięczności dla tych, którzy w polskich mundurach, pod dowództwem generała Kimbara, wraz z 2 Armią WP prowadzono przez generała Świerczewskiego, uczestniczyli w przełamaniu oporu wroga na Ziemi Łużyckiej, zadając armii hitlerowskiej ostateczny cios”.

Zawartość tej cennej książki nie stanowi li tylko wspomnieniowe zapisy przeżyć jej autora, ani opisy działań bojowych 1 Korpusu. Została ona wzbogacona o teksty piosenek żołnierskich, mapki poszczególnych szlaków wojennych, liczne fotografie, bibliografię tematu oraz objaśnienie używanych skrótów wojskowych i inne aneksy. Publikację trafnie uzupełnia rozmowa Haliny Ańskiej z gen. bryg. dr Edwardem Łanuckim — prezesem Klubu b. żołnierzy 1. Drezeńskiego Korpusu Pancernego.

Z. L.

Michał Wasilewski: **Pierwszy Pancerny**. Wyd. Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy, Zielona Góra (brak daty wydania). Str. 125. Nakład 2 tys. egz. Cena zł 350.

## Rzecz o starej broni

W dorobku Włodzimierza Kwaśniewicza, znanego zielonogórskiego historyka, dyrektora Lubuskiego Muzeum Wojskowego im. II AWP w podzielonogórskim Drzonowie, jest to już kolejna książka. We wstępie do niej autor ujawnia swoje wczesne fascynacje wybraną dziedziną historii, jaką jest broniostwo. W najśmielszych marzeniach nie sądził, że kiedyś należał do tej niebezpiecznej gawki wybrańców losu, którym dane zostało szczęście zajmowania się dziedziną, która jest jego pasją, powołaniem, życiowym przeznaczeniem. A tak się stało, jestem takim szczęśliwcem, zostałem kustoszem w muzeum, którego jestem współtwórcą.

Miło nam odnotować, że na książkę tę, która może zwrócić uwagę nie tylko ludzi interesujących się historią starej broni, barwy i znaku, złożyło się 36 żywo napisanych gawęd, które wcześniej, w latach 1975—1983 publikowane były w większości na łamach naszego pisma, pod wspólnym tytułem — „Okienko kolekcjonera” — stąd i jej tytuł: „Okienko kolekcjonera — gawędy o starej broni”. Wzrost tych opowiadań stanowi fakt, że nie jest to tylko techniczny opis poszczególnych rodzajów broni, ale że jej rozwój, zastosowanie, skuteczność, pokazane są na szerszym historycznym tle. Dla tych, którzy interesują się starą bronią lub też zajmują jej kolekcjonowaniem, książka Kwaśniewicza stanowi skondensowane źródło wiedzy na ten temat.

Można oczywiście mieć żal do autora, że jest to zapis zgola niekompletny i dosyć przypadkowy, nie miał on jednak w tym przypadku ambicji encyklopedycznych, co w naszym nie obniża wartości tego wydawnictwa, które stanowi niezłą wizytówkę drzonowskiego muzeum. Gorzej natomiast, że w tej niezbyt opasłej przecież książeczce znalazło się zbyt wiele błędów korektorskich, bo np. nie została ona, jak to wynika z tekstu wydana za czasów Jana II Sobieskiego (str. 60) w Chełmie Lubuskim (str. 112).

W.N.

Włodzimierz Kwaśniewicz: „Okienko kolekcjonera czyli gawędy o starej broni”, Lubuskie Towarzystwo Kultury, Zielona Góra 1987. Nakład 2000 tys. egz. Cena 650 zł.

„Czy to grzmot przetacza się nad wsią co rano? Nie. To gospodarze, każdy w swojej chałupie, wyszedłszy z ciepłych łóżek i przeciągnąwszy się, równocześnie robią... siusiu”.

— Raba się ościeliła — oznajmia Kaziuk sąsiadom, po czym następuje wyśmienita scena, gdy trzej wiejscy mędrkowicie komentują narodzenie cioci, które zamiast beczki, rzy jak małe zrebie. Pietrek z Michałem zastanawiają się:

— Może Raba puściła się z koniem? A może to nie Raba się ościeliła, tylko kobyła?

Oto Kaziuk prowadzony w swaty. Idzie przez wies i mijając kolejne domy, myśli: do której go prowadzą? Było nie do Handzi. Dlaczego? Wszak to dziewczucha młoda, zdrowa, obrótka, niczego jej nie brakuje.

— A właśnie że brakuje — mówi Kaziuk — we wsi mówią, że Handzia nie ma... pindy.

Proza Edwarda Redlińskiego smakuje jak kwas z żytniej maki. Nauczycielka, młoda i cieniutka jak brzośka, przy której Kaziukowa Handzia jest kopą siana, chce, żeby jedli po miastowemu. Smaży kollety, gotuje zupę jarzynową i przed każdym stawia talerz. Ale nie z tego. Będzie tak, jak Kaziuk chce. Jedną, wspólną dla wszystkich miska kwasu na środku stołu, do tego kartofle — i basta. Nikt tu nie jest parchaty, aby musiał jadać oddzielnie.

Takich jedynych obrazków jest więcej. Publiczność śmieje się. Śmiech to zdrowie. Publiczność chce być zdrowa. Śmiech jest jej potrzebny.

Leszek Polessa dokonał scenicznej adaptacji powieści, mając na uwadze przede wszystkim Kaziuka. Po prostu przykroił tekst głównie dla siebie, dając tylko co nieco Maciejowi Ferlakowi i Jerzemu Glapowi. Kaziuk jest postacią numer jeden zgodnie z intencją autora i nawiązuje do powieści.

Natomiast Pietrek z Michałem stanowią niekonieczne tło. Toteż jeśli zdarzy się któregoś wieczoru, że panowie Glapa i Ferlak z jakichś powodów nie będą mogli grać, nie trzeba przedstawienia odwoływać. Po niewielkich skrótach, całość może wykonać pan Polessa.

Przedstawienie wydało mi się jakby za świeże, postacie jakby trochę jeszcze „prywatne”. Kwestie jakby mówione do „wewnątrz”. Dwukrotnie odniosłam wrażenie, jakby w montażu tym, coś chciało się rozkleić. Ale takie drobne i mało ważne szczegóły zazwyczaj znikają po premierze.



## GDY ŁZA SIĘ W OKU KRĘCI...

Do siedziby Jarskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce po raz kolejny zawitali warszawscy aktorzy. Licznie zgromadzona publiczność także z Zielonej Góry obejrzała nostalgiczny „Program z leżką” przygotowany przez Państwowy Teatr Żydowski. Na spektakl złożyły się po pularne w latach międzywojennych piosenki, monolog i scenki takich znanych autorów i kompozytorów, jak m.in. Tuwim i Petersburski. Starsza część widzów z przyjemnością powróciła do lat swej młodości, przypomina-



... Oczywiście, tytuł jest zwodniczy. Amerykański kompozytor, George Gershwin, nie żyje od wielu lat. Poza tym, nigdy nie był w Polsce. Ale wszyscy melomani bezbłędnie rozpoznają pierwsze akordy „Błękitnej rapsodii” jako jedno z najpopularniejszych dzieł muzyki amerykańskiej. Ten fascynujący utwór, doskonale łączący „elementy jazzu z europejską spuścizną neoromantyczną” został napisany przez niepełna dwudziestopięcioletniego kompozytora. Gershwin do dziś pozostaje najświatlejszym muzykiem Ameryki, symbolem jej kultury, ducha, czasu, nawa-

## CZEGO NIE MA HANDZIA?

Leszek Polessa, którego ostatnio widywaliśmy przeważnie w królewskich szatach, bawi się swą nową rolą i w skórze Kaziuka czuje się świetnie. Tworzy postać pełnokrwistą i sugestywną. Zdobywa sobie widza już w momencie, gdy wchodzi na scenę.

A na scenie — plot. Suszą się na nim gacie. Pietrek naprawia kosz, Michał struga kotek. Widać, że robota idzie mu niemiarko. Wokół rozgrywane słowa i śmiech, jak to wsi.

Wszystko w tej scenie dzieje się pod okiem reżysera, który, mając na względzie niewielką aktywność Pietrka i Kaziuka kupił im kilo pestek z dyni. Gryzą więc Glapa z Ferlakiem,

te pestki, podczas gdy Polessa mówi swoje monologi. Gryzą i piują lupinami.

Niby nic, a jednak i w tym coś jest. Mały, przerysowany realizm. Obaj aktorzy tworzą postacie chytre i ciekawskie, zadowolone, ale lubiące po męsku poplotkować. O czym? Przede wszystkim o babach.

Spektakl owiany jest prostym i krępkim erotyzmem. Jest to erotyzm, jak u Redlińskiego, nieco groteskowy. Odrobina lekkości, nawet nikły ślad liryzmu, przejawia się w reakcjach bohaterów na nauczycielkę. Podejrzana przez okno scena w jej pokoju powo-



Maciej Ferlak (Michał), Leszek Polessa (Kaziuk) i Jerzy Glapa (Pietrek)

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

nej repertuarem ongiś wykonywanym przez Ordonówkę, Zimniską czy Pogorzelską.

Przedstawienie rozpoczęło się słynnym przebojem „Już nie zapomnisz mnie”, śpiewanym przez cały pięcioosobowy zespół. Nastrój rozluźnił się dzięki młodej Magdzie Gniazdowskiej, przekonującej, iż „Trudno serce okłamywać”. Aktorka jeszcze kilkakrotnie zaprezentowała piosenki charakterystyczne przez namiętne wykonanie, frywolny tekst, specyficzną, swobodną mowę i gestykulację, by wspomnieć utwór ze słowami kierowanymi do kołanki ukrytego pod krynką... i znany przeboj „Ja się boję sama spać”.

Ciekawie zaprezentowała się pełna temperamentu Zofia Bajuk, dynamicznie wykonująca „Mariannę” i monolog niedoszłej samobójczyni, topielicy, która na pytanie wylonionej z wody ryceusza, wypowiada znamienne życzenie: „Jako czterdziestoletnia dziewczyna, raz wreszcie chciałabym być tknięta”. Prawdziwą eksplozję śmiechu, szczyt, ironii przyniosło brawurowo wykonane wyznaczenie kobiety-wampa, dla której mężczyzna jest tylko narzędziem miłości („bo żądzą znajduje się wszędzie”), nagrodzone oklaskami.

Bardzo podobały się występy Aliny Świdowskiej, pełne kultury, przekonujące i wokalne, i aktorsko. Zapewne długo będziemy pamiętać wykonanie szlagierów „Ta mała pila dziś i jest wstawiona”, przy którym bawili się aktorzy i widzowie. „Bądź zdrow, mój mały żigolo”, czy „Kto inny zrozumiał by”. Nieoczekiwanie komiczny talent aktorki ujawnił się w monologu o nieudanej miłości samochodów, dużego buicku i małej skody. Wiersz rozśmieszył młodszą publiczność, szczególnie refren-parodia: „Szkoda twoich lez maszyno, nie wylewaj swej benzyny...”.

Znana z ekranu Elżbieta Strzałkowska swój siły i pełen ekspresji głos wykorzystwała w reperturze dramatycznym w piosenkach: o ludziach-nietoperzach, „Twój list za późno przyszedł już” i tragifarsie „Pragnę twoją być” (aż do końcowego okrzyku: „Ty psie niedźwiedzi”). Doskonała była aktorka w opowieści wdowy, chowającej kolejnych mężów, Henrysia, Ignaca i najpiępszego Jasia.

Kilkakrotnie uwagę na sobie skupiał młody i przystojny Piotr Lenartowicz, niemal cały czas znajdujący się na scenie, zmieniający nastrój jak przysłowiowe rękawiczki — od rozbawie-

duje u Kaziuka nieodpartą chęć, by posiąść tę, tak odmienną od grubej żony, delikatną panienkę.

Kto chce wiedzieć, co było dalej, niech idzie na przedstawienie. Mnie pozostaje tylko wyrazić radość z powodu ujrzenia, na zielonogórskiej scenie, po długiej przerwie, Jerzego Glapy i pogratulować Krzysztofowi Rotnickiemu niespodzianki, jaką sprawił widzom zielonogórskim wystawiając „Konopielkę”.

HALINA ANSKA

Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Edward Redliński — „Konopielka”. Reżyseria — Krzysztof Rotnicki. Adaptacja Leszek Polessa. Grają: Leszek Polessa — Kaziuk, Jerzy Glapa — Pietrek, Maciej Ferlak — Michał. Premiera: marzec 1988.

## Gershwin w... Zielonej Górze

— sposobu robienia kariery (zainteresowanych odsyłam do świetnej książki biograficznej), piora Juliana Kydryńskiego). Od roku 1919, gdy powstała piosenka „Swanee” i błyskawicznie sprzedano 2 miliony płyt z jej nagraniem, dla młodego potomka żydowskich migrantów z Rosji, rozpoczęło się życie pełne sukcesów. Kolejnym przełomem była „Rhapsody in blue”. Od tej pory bowiem Gershwin zaczął również komponować muzykę symfoniczną dla wielkich sal koncertowych. Twórca opery o życiu Murzynów w Charlestonie, „Porgy and Bess”, zmarł w wieku 39 lat w trakcie operacji raka mózgu. We wrześniu br. świat muzyczny obchodzić będzie setną rocznicę urodzin Georga Gershwina.

Czy Zielona Góra była pierwszym miastem, które uczciło pamięć muzyka? Ważne pozostanie, iż na terenie Wyższej Szkoły Pedagogicznej z prężnym Wydziałem Muzycznym odbył się wspaniały zorganizowany i poprowadzony wieczór muzyczno-poetycki „W kręgu Gershwina”. Marcowa impreza była nie tylko rocznicową, ale i prezentacją działalności organizacji pod nazwą International Society of Music Education, ISME. Międzynarodowe Stowarzyszenie ds. Wychowania Muzycznego. Koło terenowe polskiej sekcji ISME, działające przy uczelni, zorganizowało spotkanie w palmiarni WSP. Sala była wypełniona po brzegi. Wejściu towarzyszyła muzyka Gershwina. Na marginesie — żadna impreza nie skupiła w ostatnich czasach tak wielu widzów na uczelni. Już podnosili się głosy o zaniku życia kulturalnego wśród studentów, a tymczasem — na sali zebrali się wspaniale czujący i nieźle przygotowani do odbioru muzyki i literatury publiczność.

Wieczór stanowił całość kompozycyjną. Prowadzący spotkanie, Ryszard Wilk, mówił i o pracy ISME, i o życiu, twórczości Gershwina, oraz doskonale recytował tłumaczony przez siebie wiersz Harta Crane’a „Most”. Bo-

żena Pierzgańska zaś mówiła „Fantazję jazzową” Carla Sandburga, doskonale odzwierciedlającą istotę muzyki bohatera wieczoru. Ciekawie zaprezentowali się muzycy — Jerzy Madrawski, asystent na WSP, grający na akordeonie i młody pianista, Robert Adamczuk, który wykonał dwa preludia, 8-dur i cis-moll. Punktem kulminacyjnym programu był występ rzadko, nieśmieszny, oglądany i słyszany, choć oprószony sławą występów i nagród zagranicznych, Chór Akademicki „Cantores” kierowanego przez Jerzego Markiewicza. Młodzi śpiewacy nie zawiedli wierną publiczność. Brawurowo i przepięknie wykonali dwie pieśni Gershwina i trzy tzw. Negro Spirituals. Szczególnie oklaskiwano dwoje wykonawców śpiewających niewiele partii solowe.

Wyjątkowo udany wieczór, duże przeżycie estetyczne dla wielu słuchaczy, zakończył się przyjęciem zbiorowego członkostwa ISME przez chór „Cantores”. Oznaką dyrygentowi Jerzemu Markiewiczowi wręczył specjalnie przybyły na spotkanie dyrektor Stowarzyszenia w Polsce, Zbigniew Dybowski.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA



# WIDEOKLUB

## DELTA FORCE

Jest to jeden z wielu amerykańskich obrazów, jakie powstają w ostatnich latach. Charakteryzują się one wartką akcją i polityczno-patriotyczną kłami. Tło polityczne tych filmów nie zawsze musi być zgodne z rzeczywistością, tak jak ich akcja zawiera tylko niezbędne minimum prawdopodobieństwa. I o to chodzi, rzeczywistość jest mało istotna, liczą się oczekiwania widza. A jeśli pominąć warstwę polityczną i patriotyczne fanfany, najczęściej pozostałe film oparty na dobrym scenariuszu i wyreżyserowany z rzemieślniczą maestrią. Jeśli jeszcze w czołowych rolach występują Lee Marvin, Chuck Norris i Hanna Schygulla, to widz nie uważa dziewięćdziesięciu minut spędzonych przed ekranem za stracone.

W czołówce filmu pojawiają się plony nęce śmigłowce. Komandosi z oddziałów do specjalnych poruczeń zwanych „delta force” wycofują się po nieudanej próbie odbicia amerykańskich zakładników w Iranie. Krótki, ale charakterystyczny dialog zamyka tę część filmu:

— „Dlaczego nie wyszło, przecież wszystko było znakomicie zaplanowane?”

— „Znam ich planowanie, widziałem w Wietnamie, ci w Waszyngtonie planowali, a my gineliśmy.”

Arabscy terroryści porwują samolot pasażerski. Oznacza to wiele godzin grozy dla pasażerów, a szczególnie dla znajdujących się na pokładzie Żydów. Akcja filmu rozwija się i kom pikuje zgodnie z najlepszymi szkolami gatunku. Arabom udaje się ukryć w Libanie sporą grupę zakładników, wkraczając do akcji oddziały „delta force” mają podwójnie utrudnione zadanie: operację ratowania pasażerów należy przeprowadzić w dwóch różnych miejscach niemal równocześnie. Chuck Norris popisuje się akrobacjami na motocyklu z zamontowanymi rakietami i karabinem maszynowym, a Lee Marvin już niejako na pożegnane ze swoimi wielbicielami statystuje w ogniu efektownych fajerwerków i pojedynków na wszelkiego rodzaju broń. To bodaj jeden z ostatnich filmów Marvina. W „Delta force” nie miał on w zasadzie nic do zagrania — był obecny i ta obecność satysfakcjonuje widza znającego jego rolę i piosenkę o wędrującej gwiazdzie.

## KLASA

Dziwne myśli nasuwają się po obejrzeniu tego filmu. Ma on w sobie coś z „Nędznych psów” Sama Peckinpaha, jednak w znacznie gorszej obsadzie aktorskiej i o nieco gorszej reżyserii. Jednak mimo mankamentów film długo nie pozwala zapomnieć widzowi o tym co zobaczył. Jest to rodzaj filmu — pulapki, pulapki zastawione na widza. Może nie jest to w pełni świadome działanie scenarzysty i reżysera, ale myślicy widz po obejrzeniu tego filmu ma prawo poczuć się co najmniej głupio.

Nauczyciel muzyki Norris podejmuje swoją pierwszą pracę w szkole, w małym mieście. W tej szkole wszystko może się zdarzyć — przemoc, uczeniowie handlowi narkotykami, noszą przy sobie noże, w lekcjach uczestniczą jedynie dla zgrywy. Poprzedni nauczyciel w dziwnych okolicznościach spadł ze schodów, nauczyciel biologii jest znerwicowany i systematycznie pociąga z butelki, zamiast poczęstunku wódnego na korytarzach czuwa drab w policyjnym uniformie, dyrektor szkoły obserwuje wycieczki uczniów z bezpiecznego dystansu na ekranach monitorów. Norris od samego początku popada w konflikt z kilkuosobową bandą złożoną z najbardziej krnąbrnych uczniów. Nauczyciel dość szybko rezygnuje z parlamentarnych i pedagogicznych metod perswazji. Gra pod hasłem „oko za oko” nabiera błyskawicznego tempa, aż po krwawy finał.

W tym miejscu trzeba wspomnieć o scenie, którą powinni obejrzeć wszyscy oporni uczniowie: nauczyciel biologii, doprowadzony do ostateczności, złamany psychiczną chorobą, prowadzi lekcję trzymając uczniów na muszce pistoletu. W ten sam sposób przepytuje ich z rozmnażania pantofelka, więc nawet ci najodporniejsi na wiedzę poszukują w swoich głowach odpowiedzi na pytania.

Pod koniec filmu „uczniowie” gwałcą Norrisowi żonę. W odwecie amerykański Makarenko jednemu ze swoich podopiecznych przecina głowę pilą mechaniczną, drugiego podkłada benzyna i podpala, trzeciego skutecznie tłucze łokciem a czwartego strąca z dachu wysokiego budynku. Cóż, każdy kraj ma swoje metody wychowawcze.

FAN

## Artysty Witebska

Na zaproszenie władz wojewódzkich przebywała w Zielonej Górze i w kilku miastach środkowego Nadodrza delegacja artystów plastyków z Witebska. Artysty spotkali się z gospodarzami regionu, zwiedzili zabytki i placówki kultury, odbyli rozmowy z artystami zielonogórskimi. Z udziałem gości białoruskich odbyło się otwarcie wystawy malarstwa, grafiki i rzeźby pt. „Artysty Witebska”. Wystawę, zorganizowaną w Zielonogórskiej Galerii Aktualności, przygotowali członkowie Zarządu Okręgu Związku Artystów Plastyków Polska Sztuka Użytkowa.

38 współczesnych artystów plastyków białoruskich zaprezentowało 72 prace, w tym: 16 obrazów olejnych, 20 akwarel, rysunków i grafik czarno-białych, 20 ekslibrisów i 1 rzeźbę. Zwiedzających interesowały pejzaże, malowane z dużym wyczuciem koloru białoruskiego (M.F. Glusko — „Pamiętkowe miejsce”, W.P. Durow — „Zimowy pejzaż” i „Echo”, A.S. Korzeniewski — „Wkrótce wiosna”, W.J. Wiggo — „Jesień”). Interesujące były również portrety, wśród nich szczególnie P.M. Jazica, I.J. Borowski i W.J. Tichonienki („Polski robotnik Z.R.”). Nas jednak najbardziej zaintrygował obraz olejny pt. „Muzyka”, którego autorem jest W.A. Miedwiecki.

Również w marcu przebywała w Zielonej Górze grupa twórców teatralnych z Witebska.

## Sztuka sakralna

W III Biennale Sztuki Sakralnej, zorganizowanym przez Biuro Wystaw Artystycznych „Art-Stilon” w Gorzowie, wzięło udział 66 artystów plastyków z całego kraju. Twórcy przygotowali wiele interesujących pod względem formy, barwy, wyrazu artystycznego rzeźb, tkanin, grafik, obrazów olejnych. Jury, które temu przewodniczyła Danuta Wróblewska, przyznała trzy medale (autorstwa Ewy Borys-Olszewskiej) następującym plastynom: Jerzemu Foberowi z Cieszy na za rzeźbę w drewnie pt. „Wskrzeszenie Łazarza”, Irenei Marii Palce z Krakowa za cykl rysunków „Psalm” i Władysława Ratusińskiego z Częstochowy za obraz olejny pt. „Modlitwa”. Dyplomy honorowe otrzymali: Stanisław Beruta, Stanisław Rodziński (oba z Krakowa) i Marek Stępień (Warszawa). Pod czas otwarcia biennale wystąpił chórek maturalny „Collegium cantorum” z Poznania pod dyrykcją Małgorzaty Kwaśnik-Chmielewskiej.

## Klem

Klemens Felchnerowski, zmarły przed ośmiu laty artysta plastyk, był znakomitym karykaturzystą. W ubiegłym roku Muzeum Ziemi Lubuskiej i zielonogórskie BWA zorganizowały ekspozycję rysunków Klementa pt. „Rodzina”. W marcu tego roku ci sami organizatorzy przygotowali kolejną prezentację prac K. Felchnerowskiego — pt. „Twarze”. Są na tych rysunkach prawie wszyscy zielonogórscy literaci, wielu plastyków, co sto osoby, o których współcześni już nie pamiętają. Te ekspozycje (w salonie wystawowym BWA) polecamy szczególnie młodzieży zielonogórskiej i wszystkim młodym rysownikom.

## Jubileusz doktora

„My, lekarze weterynarii, znamy dobrze kolegę Podbielskiego, jego ruchliwość, zapał i nowatorstwo. Na wiele lat przed rozporządzeniem ministra zdrowia wprowadził Podbielski zakaz palenia papierosów w czasie narad i odpraw służbowych. Na wiele lat przed rozpoczęciem naukowej analizy różniczkowania Podbielski z rozwiniętym patykiem w dłoniach poszukiwał wody i znajdował ją. Interesował go elektromagnetyzm i topikalistka archeologiczna” — napisał w jednej z wielu swoich książek dr medycyny weterynaryjnej Paweł Wiktor z Zagania. W tych dniach dr Tadeusz Podbielski z Miedzycza, nasz kłacz uniwersalnego leku na choroby, obchodził 85 urodziny. Przed wielu laty osiągał znakomite rezultaty lecząc ludzi

## Bronioznawca

Urodzony w 1947 r. w Zielonej Górze, absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, doktor nauk humanistycznych — Włodzisław Kwaśniewicz jest twórcą Lubuskiego Muzeum Wojskowego im. II Armii Wojska Polskiego w podzielnogórskim Drzonowie. Jest również wybitnym bronioznawcą i autorem książki z tej dziedziny wiedzy W 1981 r. Wydawnictwo MON opublikowało jego pracę pt. „1000 słów o broni białej i uzbrojeniu ochronnym” (niebawem ukaże się jej drugie wydanie). W ubiegłym roku nakładem wydawnictwa LTK ukazała się kolejna publikacja dr. W. Kwaśniewicza pt. „Okiem kolekcjonera, czyli o broni dawnej gawędy”. W tych dniach do księgarni trafiła encyklopedia „1000 słów o dawnej broni palnej” wydana w oficynie MON. W druku znajduje się książka „5 wieków polskiej szabeli”, a drukarnie opuszczają pierwsze egzemplarze pracy „Szabla polska XV—XVIII w.” Dr W. Kwaśniewicz pracuje nad słownikiem dawnych stopni i formacji wojskowych.

## Kobieta '88

W Zakładowym Domu Kultury Huty Szkła Okiennego „Kunice” w Żarach była czynna w marcu wystawa, będąca wynikiem III wojewódzkiego konkursu fotograficznego pn. „Kobieta '88”. Ekspozycja ponad 100 czarno-białych fotografii nadesłanych przez 23 autorów. Jury nie przyznało pierwszej nagrody; najwyżej oceniło prace Piotra Węclawskiego z Świebodzina (zestaw pt. „Różowe wino”) oraz Zbigniewa Pietraszkiewicza z Żar (prace bez tytułu). Jury przedwojenny artysta fotografik Czesław Lunie wicz Ohok prac amatorów można było obejrzeć także jego fotografie — cykl pt. „Ikonofera”, którego tematem była również kobieta.

## Zaprosili nas

Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Zielonej Górze na uroczystość 40 lecia Teatr Lubuski na premierę „Konopielki”, BWA w Gorzowie na otwarcie III Biennale Sztuki Sakralnej Galeria Związku Artystów Plastyków w Zielonej Górze na otwarcie wystawy „Artysty Witebska”. Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze na XII Zielonogórski Wieczór Chórny; Rada i Zarząd Izby Rzemieślniczej, Zarząd Cechu Rzemiosł Różnych, Rada i Zarząd Spółdzielni Rzemieślniczej „Wielochłanowa” w Zielonej Górze na uroczystość obchodu Dnia Rzemiosła Lubuskiego.

# LISTY

## Trafic w złoty środek

wywiad, jakiego udzieliła dr Stanisława Lapkowska - Wacowska. Lucyna Grabowska („Trafic w złoty środek”, „Nadodrże” nr 4 z br.), jest publikacją ważną, nacechowaną kulturą, subtelnością, poczuciem odpowiedzialności. Zwracam na to uwagę, bo kwestia podręcznika „Przypodobienie do

życia w rodzinie” wywołuje zbyt często reakcje niezdrowe, połączone z zaciętością.

Dr St. Lapkowska - Wacowska nie poszła na tani poklask. Nie boi się posadzeń o tradycjonalizm. Nie podkreśla „pikanterii” tematu. Odwołuje się do poglądów uniwersalnych, niezwykle nośnych wychowawczo.

Idzie o znaczenie kształtowania woli. Ten moment działalności edukacyjnej nie jest dziś doceniany; z pewną stratą dla obecnego pokolenia. Sprawa nabiera specjalnego znaczenia w sytuacji, znanej nam, gdy coraz częściej następuje rozdźwięk między dojrzalszą seksualną i społeczną młodością ludzi. Odwoływanie się więc do siły wo-

li, do charakteru to zamierzenie godne upowszechniania.

I jeszcze jeden optymistyczny akcent ze wspomnianego wywiadu, kiedy mowa o rodzicach „czterdziolatek” wchodzących w życie nieco inne, dojrzałe w pełni. „Młodzież trzeba uczyć zrozumienia, wywołać u niej postawy opiekuńcze wobec rodziców”. Rzadko w dysertacjach na tematy edukacyjne podnosi się tę istotną sprawę.

Na zakończenie. Nauczyciel przedmiotu „Przypodobienie do życia w rodzinie”. Powinien mieć szeroką wiedzę teoretyczną i równocześnie interesować się tym wszystkim, czym żyje młodzież, znać jej problemy”. Powinien...

STANISŁAW TUROWSKI

# camera filatelistica

Trudne lata przeżyli chińscy filatelisci w okresie tzw. „rewolucji kulturalnej”, kiedy humwojini zadekretowali, że zbieranie znaczków pocztowych jest bezproduktywnym, a więc szkodliwym społecznie zajęciem. Niszczono ekspozycje regionalne w muzeach, płonęły prywatne kolekcje znaczków. Zbieraczy wysiedlano na wieś pozabawiając ich możliwości dokumentowania pocztowych przemian, jakie dokonywały się od połowy XX w. w Państwie Środka. Zamknięto nawet redakcję oficjalnego pisma filatelistycznego. Ten dziesięcioletni okres 1966—1976 chińscy zbieracze mają już za sobą. Dzisiaj obok państwowych sklepów filatelistycznych, których ciągle jest zbyt mało jak na potrzeby tego miliardowego społeczeństwa, główny ciężar organizacji obiegu i wymiany znaczków przejęli sami filatelisci. Nie brak wśród nich, jak to zawsze bywa, ludzi energicznych i przedsiębiorczych, którzy mają znajomych pracowników poczty i znają dobrze rynek filatelistyczny. U nich można nabyć oczywiście po wyższych cenach zarówno nowości, ale również

i te starsze poszukiwane walory filatelistyczne. Jeden z towarzyszących mi po Pekinie tłumaczył mi, że niektórzy z tych pokątnych handlarzy zarabiają nawet do 600 yuanów miesięcznie, a więc blisko dziesięciokrotnie więcej niż przeciętna płaca w przemyśle. Należy wyrazić zdziwienie, że władze fiskalne państwa nie popierają prywatnego, ale zalegalizowanego handlu znaczkami, tolerując natomiast istnienie tego rodzaju różnych pośredników, których gabloty ze znaczkami zawieszono są na latarniach ulicznych. Zbieraczy najczęściej znaleźć można w okolicach urzędów pocztowych. Zebrania wymienne odbywają się zwykle na peryferiach dużych miast w salach szkolnych. Zainteresowanie filatelią w Chinach stale rośnie. Oblicza się, że systematycznie zbiera znaczki pocztowe ponad 3 mln obywateli. Ponownie wydawane jest w Pekinie pismo Jie You (filatelistyka). Ukazuje się także pismo filatelistyczne w języku angielskim. Prawie każda prowincja posiada własne biuletyny filatelistyczne. Wydawane są pisma filatelistyczne dla dzieci i młodzieży.

## Jie You

Chiński rynek filatelistyczny opłany jest, jak dotychczas, niezdrową tendencją spekulacyjną. Wielu obywateli uważa, że najlepszą lokatą kapitału jest zakup znaczków pocztowych, które osiągają nienotowane przystość wartości. Tu odnotować należy, że na chińskich walorach filatelistycznych z lat 1949—1980 najlepsze interesy robią europejskie, amerykańskie i japońskie firmy, które posiadają duże zapasy tych znaczków i oferują je chińskim zbieraczom. Nie dziwnego, że od 1984 roku stale i systematycznie rosną ceny w katalogach na znaczki Chińskiej Republiki Ludowej. Ostatnie wydanie katalogu Michel-Azja odnotowuje (dotyczy to bloków) prawie 400 procento wyrost dotychczasowych wycen. W Chinach ciągle jeszcze obowiązuje zakaz eksportu i importu prywatnego znaczków pocztowych. Tylko uprawnione firmy państwowe mogą dokonywać takich transakcji. Oczywiście — znaczki to dla państwa dewiza, a tych Chiny ciągle potrzebują. Ale przemysł zbieraczy, jakże dobrze nam znana nawet najstraszniejsze omija zakazy i na rynku w większych miastach można spotkać nie tylko znaczki chińskie, ale prawie całego świata. Flora, fauna, sport to najczęściej poszukiwane tematy. Najwyższe ceny uzyskują znaczki z okresu pierwszych lat władzy ludowej. Wszelkiego rodzaju przedruki prowizoria, oczywiście na listach z naturalnego obrotu pocztowego, uzyskują nierzadko haitańskie wprost ceny. Sam byłem świadkiem sprzedaży listu z terenów zajętych przez Ludową Armię wyzwolenczą w 1948 r., za który właściciel uzyskał 10 000 yuanów.

Wśród zbieraczy, którzy przeżyli i których zbiory dobrze ukryte dzisiaj stanowią osobną każdą wystawę, wymienię wypadła wybitnego eksperta i kolekcjonera Shen Zenghua. Urodzony w 1922 r. od 1940 r. brał udział w walkach Chińskiej Armii Ludowej. Wyzwolenie dowodzone przez Mao Tse-Tunga. Udało mu się zgromadzić bogaty materiał dokumentacyjny z lat walk o władzę Chińskiej Partii Komunistycznej. Wiele pism na łamach pism filatelistycznych (także Jie You), wiele jego opracowań uznanych jest jako fundamentalne dzieła chińskiej filatelistyki.

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

M. SŁAWOMIR

# nadodrże

DWUTYGDNIOWE SPOŁECZNO-KULTURALNE PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, 9: Roboterów Szlągów 13, 1 p. oraz adres dla korespondencji: 65-025 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 18. Telefon redakcji: naczelny i sekretariat 788-35 sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7. Długość telefonu wewnętrznego Telex 643235 Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Janusz Konisz, (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczel.) Wiesław

Nadawski sekretarz red.: Ryszard Rowiński, Alfred Słatecki Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow sekretariat redakcji Elżbieta Walencka Wydawca RSW „Prasa Książka Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 2 53-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51 Centrala telefoniczna 46-61 do 67 Dyrektor Zbigniew Bielewicz tel. 213-84 Druk: Beniamin Praczowa ZWP 65-074 Zielona Góra nr Reklama: telefonacja przyjmuje Biuro Reklam Ogłoszeń Zielonogórskich Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów tekstowych i fotograficznych zamawiających redakcja nie zwraca. W uzasadnionych przypadkach nie zamawiających materiałów redakcja wstrzymuje sobie prawo skrótu i zmian tytułów.

Zam 229 Z-20



Trzej osikowie, bracia Budrysowie, pojechali w świat bez wiz i dewiz, w celach jednoznacznie rabunkowych. Wróciwszy, rozpakowali walizki i wtedy okazało się, że jedyną ich zdobyczą były narzeczone — Łaszki. Łupy miały charakter bardziej ideologiczny, aniżeli materialny.

Jesteśmy społeczeństwem ruchliwym i bylibyśmy nim jeszcze bardziej, gdyby biura paszportów miały dostateczną ilość spinaczy, kleju i tuszu. Otwartość polityki paszportowej zdumiewa i budzi opór różnych zachodnich demokracji. Włosi i inni widzieliby chętnie jakies przejawy reglamentacji w tej dziedzinie a tymczasem zanosi się na coś wręcz przeciwnego. Z dobrze poinformowanych źródeł są przecieki, że pracownicy urzędnicy biur paszportów po święta jeszcze większe otwarcie na stulą. Kolportażem paszportów zajmą się wyspecjalizowane w sprzedaży gazet i nasion kioski „Ruch”. Tusz, spinacze przestaną być wąskim gardłem materiałowym, bowiem zaopatrzenie po wierzone zostanie energii, silne przebiecia poszczególnych obywateli. Ruchliwość społeczna też ma zostać spotęgowana. Pozytywne doświadczenia związane z wykonywaniem absolwentów wyższych uczelni, zwłaszcza lekarzy, dentystów, optyków, elektroników, cybernetyków, socjologów za granicę, tak aby przestali paszportować na karkach naszej klasy robotniczej zostaną powielone na poziomie szkół średnich. Wykopią się technicy ze specjalnością: blacharstwo, la-



boranci medyczni, kreslarze, monterzy. Między Odrą i Bugiem pozostać powinien lud szczerzy, mało wymagający, na wykłady do łopaty, kilofa i holajzy. Jego misją dziejową ma być wyprowadzenie kraju z kryzysu i wprowadzenie Polski w dwudziesty trzeci wiek.

Ostatnio na rynku w Zielonej Górze znalazłem lupinę orzecha kokosowego. Pustą, za głupie dwa i pół tysiąca krajowych złotych. Właściciel lupiny odowiedział wyspę Pingo-Pango, gdzie był w celu zawarcia umowy o braterstwie miast. Niestety, na wyspie żadnych miast, nadających się do partnerskich stosunków, choćby z Witnicą, nie ma. Chaty są kryte liśćmi palmowymi. Pingo-Pango położone gdzieś między Antarktydą i Arktyką właśnie podczas pobytu ekipy naszych rodaków obchodziło obrośniętą tradycją święto orzecha kokosowego. Król Pingo-Pango pogodziwszy się z zakłóceniem rytuału ludowego święta dzieci natury, pożył się Polaków obdarowując ich właśnie lupinami orzechów.

Otwarcie placówki konsularnej królestwa Pingo-Pango w Warszawie jest na najlepszym drodze. Powołanie towarzystwa przyjaźni także. Nic nie stoi na przeszkodzie uruchomieniu specjalnej linii autobusowej przyjaźni. Natomiast król Pingo-Pango sprzeciwił się ostro uruchomieniu polskiej firmy consultingowej, która zajęłaby się unowocześnieniem jego nieco przestarzałej administracji państwowej (mówiąc szczerze takowej w ogóle nie ma), systemu prawnego i modernizacji centrum. Na reformę gospodarczą też nie wyraził zgody. Natomiast, zduszając uprzednio petycje, ów światły monarcha wyraził najwyższe uznanie dla projektu wybudowania w Polsce swego pomnika.

Wielu ludzi się już o lokalizację monumentu.

RYSZARD ROWIŃSKI

Rozwiązanie krzyżówki — stano-  
wi je hasło ułożone z liter w ponu-  
merowanych kratkach diagramu —  
prosimy nadsyłać na adres naszej  
redakcji w terminie do 30 kwiet-  
nia br. Na kopercie prosimy na-  
kleić zamieszczony obok kupon. Do  
wylosowania będą nagrody, które

ufundowało **WOJEWODZKIE  
ZRZESZENIE LUDOWE ZESPO-  
ŁY SPORTOWE** w Zielonej Górze:  
śpiwór, materac turystyczny i tor-  
ba turystyczna.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 6**

Poziomo: katamaran, adorator, redyk, dar, zakąła, atrapa, King, Azja, Nara.

Iran, ślad, cek, kolo, Robak, tan, zerow-  
nik, Zagań, Ana.

**Pionowo:** karabinier, Radek, narkoza, Toda, gra, beg, baryla, Ankara, makata, okoń, bat, rześl, rodzaj, Lotna, mara, pała, Ain, rwa, Dunka.

Nagrodę książkową wartości ok. 1000 zł wylosowała p. **IRENA GRZEGOR-SKA**, zam. ul. Wróblewskiego 6, 67-100 Nowa Sól. Gratulujemy.

**OCENIAĆ RYCZAŁTEM.** W bydgoskich „Faktach” (nr 12) J. N. publikuje relację z warszawskiej konferencji, poświęconej literaturze Polski Ludowej. „Stanisław Burkot — pisze autor — przemianą prozy polskiej w latach 1955-58 całościowo pogubił, ryczałem wywołując wszystko, co wówczas pisano w duchu socrealizmu, ze stalinizmu”. Zryczałtowaną ocenę stanu polskiej literatury współczesnej proponujemy stosować konsekwentnie. Ryczały stanowią dystans, do niczego nie zobowiązują. Wygodne.

**NA STOJĄCO.** W telewizyjnych poznańskich „Spotkaniach z kulturą” (19 marzec br.) red. Adam Kochanowski, komentując przebieg sesji poświęconej Władysławowi Żamowskiemu, stwierdził m.in.: „Rzadki to przypadek, żeby uczestnicy wysłuchali referatów na stojąco”. Potem kamera ukazała salę, wypełnioną wyłącznie siedzącymi na krzesłach ludźmi, a red. Kochanowski uparcie donosił: „Otóż proszę, są miejsca stojące”. Istotnie, były. Ale były to miejsca puste.

**KIM JEST STEFAN KISIELEWSKI.** W drugim lutowym numerze nowego pisma „Konfrantacje” — notka biograficzna na Stefana Kisielewskiego. Czytamy w niej m.in.: „Krytyk muzyczny i ustrojowy”. Profesja to, czy powołanie?

**NAJKRÓTSZY REPORTAŻ.** W czasopiśmie „Res Publica” (nr 5 z ub. roku) Hanna Krall opublikowała najkrótszy reportaż: „Wrócił Rozenfeld. Widuje go się wszędzie...”. Niestety, nie wszędzie. W Zielonej Górze nie spotkaliśmy go.

**EROTYK REFLEKSYJNY.** Zofia Luchowska — Kuna opublikowała na łamach „Kamenu” (nr 6) utwory poetyckie. W wierszyku „Jeszcze raz” pisze m

in.: „trzeba się pozbierać / posklejać /  
położyć starannie makijaż / na twarz /  
cios był poniżej...”. Męskie ciosy zwykle  
bywają poniżej...

**CZEGO NIE DOŚWIADCZYLIŚMY.** Urszula Kozioł w statym felietonie „Z poczekalni” („Odra” nr 3) pisze: „Polska wcale nie należy do krajów najbardziej gorzko doświadczonych w ostatnich latach. Bóg przynajmniej nas uchronił od rewolucji kulturalnej na sposób chiński”. Bo my mamy własne sposoby. To oczywiście.

**ROZRYWKOWE. BANIALUKI.** Jacek Tomski pisze o „Rozrywkowej konsekwencji” („Szpilki” nr 12), posługując się przykładami reorganizacji w Ministerstwie Kultury i Sztuki, a konkretnie rozwiązaniem (lub powołaniem) Départa mentu Sztuki Rozrywkowej. Autor przy tacza z tzw. szczebla wojewódzkiego inny przykład: „... niech rozrywka nie narzeka, bo np. w Urzędzie Województw w Gorzowie Wielkopolskim dysponującym największym gmachem nowoczesnej Europy próbowano wciąć cały wydział kultury do wydziału do spraw wyznań, tylko, że się świadkowie Jehowy nie zgodzili. Nam to rozwiązanie, zwłaszcza w stolicy, bardzo się spodobało – tyle teraz gra się, śpiewa, maluje po kościołach – co więc szkodziło północny urząd z zakrystią?”. Zakrytaniem ma zapewne ochotę zostać Jacek Tomski.

**PO II BIENNALE SZTUKI NOWEJ.** Na temat II Biennale Sztuki Nowej, które odbyło się w minionym roku w Zielonej Górze — dwie publikacje w czasopiśmie „Sztuka” (nr 1). Krzysztof Stanisławski w szkicu „Spóźniona transawanguardia?” nad bezprogramowym programem Nowej Sztuki, słusznie jednak przy końcu konstatując: „Wydaje mi się, że to właśnie jest najciekawszym walorem i zasługą imprezy zielonogórskiej — dała ona szansę powrotu do normalnego życia plastycznego, do sytuacji artystycznej, w której liczy się tylko sztuka i tylko ona stanowi o wartości artysty. Przynajmniej na czas trwania zielono-

górskiego biennale zawieszono na kilku animozje i zniki podziwały moralno-polityczne — by konfrontować się ze sobą, sprzeczać? Druga publikacja stanowi rozmowa z Zenonem Polemsem, przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego II Biennale, przeprowadzona przez Joannę Paskiewicz-Jagers. Artysta stwierdza m.in.: „Biennale, choć nie było to naszym świadomym dążeniem, przedłużyło zielonogórską tradycję „Złotego Grona” — wystaw i sympozjów organizowanych tu w latach 1963-1979, grupujących czołowe polskich artystów sztuki poszukującej. W świadomości władz miejscowych impreza ta jakby nadal istniała; nie trudno więc było uzyskać zgodę na imprezę, która podąża za złoconogórską tradycją”. Polus kończy swoją wypowiedź następująco: „Na I Biennale dominowało poczucie wspólnoty, na II-gim — duch rywalizacji, na trzecim...?”. Na trzecim będzie zapewne przeniesienie się z tak programowo odciętej tradycji. Targania po szczątkach nie przewidujemy.

**POLECAMY NAJPROSTSZĄ FORMU-  
LĘ.** Grupa ekspertów wycofała ostatecz-  
nie podręcznik „Przypodobienie do ży-  
cia w rodzinie”, wycofała się z jego ob-  
rony „Polityka”, proponując w nr 14  
własną wersję takiego wydawnictwa.  
My z kolei proponujemy do wszystkich  
programów szkolnych wprowadzić naj-  
prostszą formułę: bociany przynoszą  
dzieci. Wówczas nikogo to nie zgorszy.  
**PRZYTOMNY GŁOS KTT.** W swojej  
Kuchni polskiej KTT („Polityka” nr  
14) zauważa: „Niedawno prasa, a także  
i telewizja doniosły bez komentarza, że  
wycofany został ostatecznie ze szkół ów  
osławiony podręcznik przygotowywujący  
do życia w rodzinie, o który tyle było  
sporów i halasów, a który jedno z pism  
katolickich nazwało „podręcznikiem ma-  
sturacji”. Nie brałem udziału w tej dy-  
skusji prasowej, w której ustalali dzieł-  
nie także nasi koledzy z „Polityki”. Nie  
przypominam sobie jednak, aby ktokol

wiek zarzucał mu niekompetencję w zakresie wyjaśniania problemów życia seksualnego. Zarzuty dotyczyły jedynie szczególnie pojętej „obyczajności” — u więc tego, że młodzieży nie wypada o tym mówić i w ogóle nie są to tematy, na które rozmawiać można w przywołanym domu i moralnej szkole. Wycofanie więc podręcznika nie nastąpiło na skutek jego niedorzeczności (rzecz, którą, jak mi donoszą, należałoby zrobić z wieloma innymi podręcznikami), ale jakby dla świętego spokoju, żeby wycofać o tym nie rozmawiać i, Boże broni, nie antagonizować opinii”. Toteż powtarzamy: bociąny są najbezpieczniejsi...

**KTO NIE LUBI W GORZOWIE ŁO-**  
DOW. Krystyna Zielińska w stałym fe-  
letonie „Z nastuchu” („Veto” nr 14) tym  
razem postanowiła pomóc swoim czytel-  
nikom. Trzeba – pisze posłanka –  
„Zbigniewowi Wydyło przywrócić wiarę  
w życie. Producent napęplazych łó-  
dów jagodowych z włoskiego automatyz-  
mu jest głęboko zraniony orzeczeniem PIH:  
„zażniona zawartość suchej masy” –  
napisał. I cukiernik z Gorzowa Wielko-  
polskiego po prostu cierpi”. I nie mu nie  
pomaga pocieszenie, iż cierpienie uszla-  
chetnia.

**REKORDZISTA?** W święto wydanym  
przez Gorzowskie Towarzystwo Kultury  
tomiku poetyckim Dariusza Muszera  
czytamy na skrzydełku obwoloty: „*Laureat kilkunastu konkursów literackich, m.in. nagroda główna „Świętokrzyskiej Liry Poezji” – Kielce ’85, nagroda główna „Tłackiego członka” – Łódź ’85, I nagroda to konkursie im. J. Przybosa – Warszawa ’85...*”. Łącznie  
naliczyliśmy 14 nagród i wyróżnień, uzy-  
skanych w konkursach ogólnopolskich i  
regionalnych. Wniosek? Nobel coraz bli-  
żej. Tylko, dlaczego debiut Dariusza Mu-  
szera zawiera „młodzieńcze utwory”, a  
nie jest prezentacją jego długiej drogi  
poetyckiej?

**BĘDZIE SUKCES?** W „Sondzie wydawniczej” („Poezja” nr 2), w odpowiedzi na pytanie o przewidywane sukcesy wydawnicze tomików poetyckich, Michał Kabata, dyrektor — redaktor naczelny Państwowego Instytutu Wydawniczego prognozuje: „*Niewątpliwie Jerzego Harasymowicza „Lichtarz ruski” ze względu wyłącznie na walory artystyczne, acz i nakład 5 tys., nie należy uważać za jego skrawo niski. Z tegorocznej produkcji wyróżniamy powieści czytelnice Erwinowi Krukowi „Z krainy Nod” (3 tys.) oraz Waldemarowi Mystkowskiemu „Wigilny język polski” (2 tys.)*”. Waldku, trzymamy kciuki!

**KRYTYCZNIŃ C „PROMYKU”** Lubliń-  
rowski ośrodek campingowy w Łago-  
wie nie ma dobrej opinii. W piśmie  
„Hotelarz” nr 3 — miesięczniku Zrze-  
szenia Polskich Hoteli Turystycznych z  
Polskiej Federacji Campingu i Carava-  
ningu red. Adam Kęsik rozmawia z Ja-  
nem Krecielewskim, dyrektorem BTC  
„Camptur” i zarazem sekretarzem ge-  
neralnym Polskiej Federacji C. i C. Na  
pytanie: — „Gdzie na przykład moż-  
jechać za pośrednictwem „Campтуру”?  
J. Krecielewski odpowiada: — Korzy-  
stamy z kilkudziesięciu campingów na  
terenie całego kraju (...). Turyści, któ-  
rzy na te campingi trafili przez „Cam-  
ptur” są zadowoleni. Może z jednym  
wyjątkiem. Chodzi o camping w Łago-  
wie. To by się zgadzało z naszymi od-  
rzucającymi

**KROKI W PRZÓD, DWA KROKI W TYŁ.** W telewizyjnej „Trybunie Sejmowej” (6 mb) poseł Jerzy Szmajdzkiński, przewodniczący Zarządu Głównego ZSPM, indagowany na temat wycofanego „Podręcznika do wychowania w rodzinie” odniósł się krytycznie do tej decyzji, konkludując: „Zrobiliśmy krok w przód w tej ważnej dziedzinie oświaty i wychowania, niestety — teraz uczyniliśmy dwa kroki w tył.” My też tak uważamy...